cIV 9013

Cena zł 20

DZIŚ i JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok V | Warszawa, 16 stycznia 1949 r. | Nr 2 (164)

TREŚĆ NUMERU: J. Poliński — Projektowanie architektury; Nabyć, czytać, nie czytać...; D. Horodyński — Z notatnika podróży; Tydzień kulturalny; J. Majkut — Scenariusz i scenarzysta; W. Pietrzak (Balk) — Lot jaskółek; J. Artemski — Wędrówki po scenach polskich; Czytelnik uważa, że...

Konstanty Łubieński

WYJAŚNIENIA

I.

Artykuł mój zamieszczony w Nr 49 „Dziś i Jutro", określający stanowisko ideowo - polityczne naszego zespołu wywołał dość znaczne poruszenie przede wszystkim w środowiskach katolickich. Wiele osób zajęło stanowisko negatywne w stosunku do wyrażonych przeze mnie poglądów. Nie brak jednak i opinii pozytywnych i to pochodzących nie tylko od osób świeckich, lecz również i duchownych.

W świetle powyższych wypowiedzi okazuje się, że artykuł mój wymaga wyjaśnień i uzupełnień. Jest to zupełnie zrozumiałe ponieważ stanowisko, jakie zająłem jak i określenia, których używałem są dla środowisk katolickich dość rewolucyjne. Zdaję sobie sprawę, że trzeba ponieść jeszcze wiele trudów, aby tego rodzaju poglądy zostały po pierwsze właściwie zrozumiane, po drugie przyjęte. Poza tym trzeba stwierdzić, że wiele osób wykazuje całkowity brak najbardziej elementarnych wiadomości o socjalizmie. Brak ten jest szczególnie kompromitujący w tych przypadkach, kiedy zajmuje się zdecydowane stanowisko za lub przeciw socjalizmowi. W ogólności przy okazji dyskutowania problemów społeczno-gospodarczych ujawnia się w naszym społeczeństwie duży stopień ignorancji w stosunku do tych problemów. Zjawisko to występuje również w środowiskach społeczno-politycznych. Nieliczni są bowiem ci działacze społeczno-polityczni, którzy posiadają gruntowną znajomość problemów socjologicznych w szerokim tego słowa znaczeniu. Gdyż trudno uważać za znajomość tych problemów opanowanie sloganów czy też posiadanie pewnego zapasu frazesów. Ten smutny stan rzeczy można stwierdzić zarówno w środowiskach marksistowskich jak i katolickich. Trzeba jednak przyznać, że w ostatnich czasach marksiści dokonywują dużo wysiłków, aby powyższe braki usunąć. W szczególności „Nowe Drogi" przyczyniają się do pogłębiania znajomości socjalizmu w świetle doktryny Marksa.

Szczególnym powodem nieporozumień na temat mego artykułu to pogląd występujący zarówno u marksistów jak i u katolików, że socjalistyczny ustrój społeczno-gospodarczy jest nierozerwalnie związany z światopoglądem materialistycznym. Pogląd ten, moim zdaniem jest przestarzały, uderza w najbardziej podstawowy punkt naszego stanowiska, które afirmując zdecydowanie socjalistyczny ustrój społeczno-gospodarczy, równie zdecydowanie odcina się od materializmu dialektycznego, w miejsce którego głosi światopogląd katolicki. Problem ten jest niewątpliwie najbardziej istotny w ideowej stronie naszego stanowiska.

Biorąc pod uwagę powyżej wymienione okoliczności, pragnąc usunąć wiele nieporozumień, a równocześnie zachęcić do przemyślenia szeregu poruszonych przeze mnie tematów, a w konsekwencji skłonienia do praktycznych wniosków, uzupełniam mój artykuł z nr 49 następującymi tematami: 1. co uważamy za istotne cechy socjalistycznego ustroju społeczno - gospodarczego. 2. dlaczego akceptujemy tak pojęty ustrój. 3. Jak należy oceniać socjalistyczny ustrój społeczno-gospodarczy z punktu widzenia społecznych encyklik papieskich.

II.

Podstawową zasadą socjalistycznego ustroju społeczno - gospodarczego jest uspołecznienie środków produkcji. Przez środki produkcji rozumie się przedmioty pracy jak np. ziemia, surowce wymagające obrobienia, oraz narzędzia pracy (maszyny). Uspołecznienie polega na likwidacji własności prywatnej w stosunku do środków produkcji na rzecz własności społecznej, tzn. socjalistycznej. Własność społeczna może mieć dwie formy. Własność państwową, która jest własnością ogólnonarodową oraz własność spółdzielczą, która tym różni się od państwowej, że środki produkcji należą nie do całego społeczeństwa, lecz tylko do członków spółdzielni (spółdzielnie handlowe, produkcyjne na wsi, rzemieślnicze itp.). Ustrój gospodarczy nie traci charakteru ustroju socjalistycznego jeśli pewne rodzaje środków produkcji są przedmiotem własności prywatnej, jednak że w żadnym razie nie mogą być to podstawowe środki produkcji (pozycje kluczowe). Poza tym własność prywatna na środkach produkcji, nawet z punktu widzenia znaczenia gospodarczego drugorzędnych, będzie mieć, ze względu na nieuniknioną ewolucję ku całkowitemu uspołecznieniu, charakter czasowy.

Natomiast ustrój socjalistyczny bynajmniej nie znosi własności prywatnej w stosunku do dóbr konsumcyjnych i użytkowych takich np. jak domy rodzinne. Dlatego też twierdzenie, że socjalizm znosi wszelką własność jest fałszywe i pochodzi albo z ignorancji albo ze złej woli ludzi, którzy w ten sposób usiłują socjalizm dyskredytować. W rzeczywistości socjalizm nie tylko nie likwiduje własności prywatnej na dobrach konsumcyjnych i użytkowych, lecz zmierza do jej maksymalnego upowszechnienia. Właśnie ustrój socjalistyczny dąży do zapewnienia ogółowi zaspokojenia potrzeb zarówno w zakresie dóbr pierwszej potrzeby jak żywność, ubranie, mieszkanie, jak i w zakresie dóbr kulturalnych jak książki, widowiska, koncerty itp. Różnica pomiędzy ustrojem kapitalistycznym a socjalistycznym polega na odmiennym funkcjonowaniu prawa własności w stosunku do tych dóbr. W ustroju kapitalistycznym nieproporcjonalnie większa część dóbr konsumcyjnych przypada klasie kapitalistów stosownie do uzyskiwanych przez nich zysków. Natomiast w ustroju socjalistycznym dobra te przypadają każdemu człowiekowi stosownie do wyłożonej przez niego pracy społecznej, to znaczy takiej pracy, która zaspokaja jakąś potrzebę społeczną. Te dobra również w ustroju socjalistycznym mogą być przekazywane na własność spadkobiercom, a więc ten tak silny impuls do pracy, jakim jest pragnienie zapewnienia potomstwu lepszych warunków życia, jest w całej pełni honorowany. Również zmysł oszczędzania wyrażający się na przykład w dokonywaniu wkładów oszczędnościowych jest jak najbardziej przez ustrój socjalistyczny szanowany, a poza tym znajduje dopiero w tym ustroju, w wyniku sprawiedliwego podziału dochodu społecznego, realne warunki rozwoju.

Wspominam o tych właściwościach ustroju socjalistycznego, gdyż wrogowie socjalizmu celowo o nich milczą, względnie zaprzeczają im, albo wreszcie opacznie je tłumaczą. Typowym przykładem fałszywego przedstawiania socjalizmu jest np. stwierdzenie, że w ustroju socjalistycznym ludzie będą mieszkać w pewnego rodzaju koszarach. Pogląd ten znajdował rzekome potwierdzenie w tym fakcie, że państwa socjalistyczne budują wielkie bloki mieszkalne przypominające koszary. Nieuświadomiono sobie jednak, że budownictwo wielkich bloków mieszkalnych jest wynikiem konieczności dostarczenia dużej ilości mieszkań przy ograniczonych środkach. Również w pojęciu socjalistów ideałem jest dom rodzinny, jednakże twarde warunki nie pozwalają na realizację ideału, natomiast zmuszają do wyboru pomiędzy lepianką czy wilgotną piwnicą a blokiem mieszkalnym, mającym nowoczesne urządzenia. W ogólności wielu ludzi nie zdaje sobie sprawy, że dopóki socjalizm nie odniesie pełnego zwycięstwa, dopóty realizacja całego szeregu postulatów będzie tylko częściowa. W przeżywanym przez nas okresie wszystkie wysiłki muszą być skierowane na walkę o socjalizm, a walka ta siłą rzeczy ogranicza możliwości urzeczywistnienia wielu słusznych postulatów, w szczególności w zakresie dóbr konsumcyjnych. Tego wymaga wola zwycięstwa. W przeciwnym razie socjalizm byłby jakąś utopijną zabawką pięknoduchów.

Uspołecznienie środków produkcji jest najbardziej podstawowa zasadą ustroju socjalistycznego. Z tej zasady logicznie wynikają już wszystkie inne właściwości tego ustroju. Jednakże celem uniknięcia nieporozumień, trzeba podkreślić jeszcze trzy zasady, które są dla tego ustroju szczególnie charakterystyczne.

Zasadą wyraźnie odróżniająca ustrój socjalistyczny od kapitalistycznego jest planowy charakter gospodarki narodowej. Procesy gospodarcze w ustroju socjalistycznym nie stanowią jakiegoś nieokiełzanego żywiołu, lecz przebiegają pod kontrolą czynnika kierującego życiem gospodarczym zgodnie z jego wolą, która wytycza kierunki i tempo rozwoju gospodarczego. Plan gospodarczy obejmujący nie jedno gospodarstwo czy jedną dziedzinę gospodarczą, lecz całą gospodarkę narodową, a w przyszłości gospodarkę światową, określa podział dochodu narodowego czy światowego pomiędzy konsumcję i inwestycje, co zapewnia stałe odtwarzanie się sił wytwórczych na rozszerzonej i stale rosnącej podstawie. Jest to tak zwane prawo rozszerzonej reprodukcji socjalistycznej zapewniające gospodarce stały rozwój. Równocześnie plan ten zapewnia najwłaściwszą w danym czasie strukturę konsumcji i inwestycji.

Konsekwencją uspołecznienia środków produkcji jest likwidacja podziału społeczeństwa na klasy w takim sensie, w jakim istnieje on w ustroju kapitalistycznym, tzn. burżuazje i proletariat. W ten sposób ginie zarzewie walki wewnątrz społeczeństw. Wprawdzie utrzymuje się podział społeczeństwa na inteligencję i pracowników fizycznych, na pracowników wiejskich i miejskich. Jednakże ze względu na wspólną podstawę materialną sprze

NOWY PRYMAS POLSKI

Jego Świętobliwość, Ojciec św. Pius XII, mianował arcybiskupem warszawskim i gnieźnieńskim dotychczasowego biskupa — ordynariusza lubelskiego, Jego Ekscelencję Ks. Dr. Stefana Wyszyńskiego. Przez nominację na stolicę św. Wojciecha — Gniezno — obejmuje Ks. Arcybiskup Wyszyński godność i urząd Prymasa Polski.

Dzieląc się z Czytelnikami tą radosną wiadomością, składając nowemu Arcypasterzowi i Prymasowi Polski hołd i najgłębsze życzenia w imieniu naszego zespołu i całej polskiej ludności katolickiej, módlmy się jednocześnie o pomyślny rozwój Świętego Kościoła w Polsce pod rządami Jego Ekscelencji.

DM1 59] 85—

czności zachodzące między tymi grupami będą mieć inny charakter i znacznie mniejsze napięcie, aniżeli walka klas w okresie kapitalizmu, przy czym napięcie to będzie maleć w miarę rozwoju sił wytwórczych. W rezultacie społeczeństwo socjalistyczne jest bezklasowe. Jednakże społeczeństwo staje się bezklasowe dopiero przy pełnej realizacji ustroju socjalistycznego. W okresie realizowania tego ustroju, czyli w okresie, w którym istnieją jeszcze elementy kapitalistyczne, a więc istnieją klasy, cechą charakterystyczną socjalizującego się społeczeństwa jest kierownicze stanowisko klasy robotniczej, która w pierwszym rzędzie może być gwarantem zrealizowania socjalizmu. Tę pozycję osiąga klasa robotnicza nie przez wysunięcie pewnych jednostek i oddanie im władzy, lecz na drodze wykonywania bezpośredniej kontroli życia publicznego i nadawania mu kierunków zgodnych z zasadami socjalistycznego ustroju. Tu funkcje klasa robotnicza wykonywuje przez rady załogowe, związki zawodowe i partie polityczne.

Wreszcie czwartą zasadą socjalistycznego ustroju jest jego internacjonalizm, polegający na ścisłej współpracy, w okresie walki o socjalizm, partii prawdziwie socjalistycznych, a następnie suwerennych narodów o ustrojach socjalistycznych. Internacjonalizm jest istotną cechą ustroju socjalistycznego, gdyż właściwe funkcjonowanie tego ustroju zależy przede wszystkim od jego upowszechnienia. W okresie walki o socjalizm klasa robotnicza, która jest zasadniczą siłą w tej walce musi niejednokrotnie zwalczać te ruchy nacjonalistyczne, które pozornie tylko walczą o interes narodu, a w gruncie rzeczy chronią interesy rodzimych kapitalistów, czy nawet kapitału międzynarodowego. Klasa robotnicza w szerokim tego słowa znaczeniu stanowi przygniatającą większość narodu, dlatego też interes klasy robotniczej będzie z reguły odpowiadał interesowi narodu. W rezultacie więc nie tylko nie ma żadnego konfliktu pomiędzy internacjonalizmem socjalistycznym a właściwie pojętym interesem narodu, lecz przeciwnie, internacjonalizmem socjalistyczny, w przeciwieństwie do internacjonalizmu kapitalistycznego, służąc ogromnej większości społeczeństwa, służy narodowi.

Powyżej wymienione cztery zasady, stanowią najbardziej istotne cechy socjalistycznego ustroju społeczno-gospodarczego. Zespół nasz te zasady akceptuje i widzi w nich swój program działania.

Zaakceptowanie powyższych zasad nie wyklucza oczywiście rozbieżności w społeczeństwach o ustrojach socjalistycznych. Rozbieżności te mogą dotyczyć takich problemów jak tempa inwestowania, kierunków rozwoju życia gospodarczego, rozmiarów konsumcji, metod planowania itp. Jednakże rozbieżności tego typu mieszczą się w ramach tego samego ustroju, tych ram nie rozsadzają. Twierdzimy, że socjalistyczny ustrój społeczno - gospodarczy nie jest integralnie związany ze światopoglądem materialistycznym i w ogólności z żadnym światopoglądem. Tym niemniej przedstawiciele poszczególnych światopoglądów wnoszą do tego ustroju specyficzne elementy, które nie zmieniają istoty ustroju socjalistycznego, lecz nadają mu tylko różny charakter. Zespół nasz opierając się o światopogląd katolicki, siłą rzeczy musi wnosić do ustroju socjalistycznego pewne elementy odmienne od tych, które wnoszą przedstawiciele światopoglądu materialistycznego.

Pierwszym elementem tego rodzaju to teza, że rodzina jest podstawową komórką życia społecznego. Przyjęcie tej tezy nakazuje stworzenie dla rozwoju rodziny odpowiednich warunków. Jednym z podstawowych warunków rozwoju rodziny jest urodzenie dzieci, a następnie ich wychowanie co najmniej do wieku szkolnego. Dlatego też płaca męża musi poktywać pełne potrzeby rodziny tak, aby matka nie potrzebowała zarobkować i mogła całkowicie oddać się rodzinie. Przy czym państwo winno matce ułatwić wykonywanie funkcji gospodarczych w ten sposób, aby mogła jak najwięcej czasu poświęcić dziecku. Oczywiście, że pełna realizacja powyżej postawionej tezy wymaga znacznych środków materialnych, tym nie mniej w miarę realizowania zasad socjalizmu i ta teza winna być stponiowo urzeczywistniana.

W okresie walki o socjalizm jest nieunikniona walka klasowa. Walka ta musi być zdecydowana i konsekwentna. Tym niemniej nie wolno, w naszym przekonaniu, naruszać katolickich norm etycznych w tej walce.

Socjalistyczny ustrój gospodarczy stwarza warunki do maksymalizacji produkcji. To pozwala na nadanie życiu gospodarczemu niespotykanej w innych ustrojach dynamiki. Przychodzą w życiu narodów okresy, w których zachodzi konieczność heroizmu w pracy nie mniejszego aniżeli w walce orężnej. Wydaje się, że właśnie Polska jest w takiej sytuacji. I dlatego wszyscy, którzy biorą udział w akcji współzawodnictwa pracy zasługują na najwyższy szacunek.

Jednocześnie podkreślam, wyznając doktrynę personalizmu, że warunki egzystencji człowieka pracy winny w całej pełni odpowiadać zasadom tej doktryny.

Koncepcja sprawiedliwego podziału dochodu społecznego nabierze wyraźnej konkretyzacji przez zastosowanie do niej katolickiego pojęcia sprawiedliwości. Etyka katolicka nie tylko domaga się sprawiedliwości, lecz wskazuje jaka jest jej treść.

Do socjalistycznej idei internacjonalizmu opierającej się przede wszystkim na przesłankach materialnych (interes klasy robotniczej, podział pracy) katolicy wnoszą nowy element. Element miłości człowieka do człowieka i narodu do narodu. Ten element może stworzyć w pierwszym rzędzie nie koniunkturalne lecz stałe podstawy współpracy międzynarodowej.

Wprowadzenie powyżej omówionych elementów w niczym nie narusza tych zasad socjalistycznego ustroju społeczno - gospodarczego, które określiliśmy jako pewnego rodzaju essentiale negotium tego ustroju. Przeciwnie elementy te nadają socjalistycznemu ustrojowi społeczno - gospodarczemu bogatszą treść i w ten sposób udoskonalają go.

III.

Teoretycznie ustrój sam w sobie nie jest ani zły ani dobry. Stosunki panujące pod rządami tego samego ustroju mogą być w dwu krajach różne. Jednakże w danej epoce dany ustrój społeczno - gospodarczy zapewnia z dużym stopniem prawdopodobieństwa realizację pewnych określonych celów. W naszej epoce istnieją w zasadzie tylko dwie realne koncepcje ustrojowe. Kapitalizm i socjalizm. Tertium non datur. Albo środki produkcji znajdują się w zasadzie w rękach osób i instytucji prywatnych, albo są w zasadzie uspołecznione. Wyjątki od tych zasad mogą mieć miejsce nie zmieniając istoty rzeczy. Wszelkie trzecie rozwiązania są próbami ochrony albo przed ustrojem kapitalistycznym albo przed ustrojem socjalistycznym. Okazuje się jednak, że próby te wcześniej czy później przeobrażają się w jedną z dwu wymienionych form ustrojowych. Typową np. taką próbą trzeciego rozwiązania są faszyzm i hitleryzm, które pomimo wielu odmiennych pozorów posiadały wszystkie cechy klasycznego ustroju kapitalistycznego. Podobnie ma się sprawa z systemem Keynsa, którą wielu traktuje jako trzecie rozwiązanie, zresztą, jak się zdaje, wbrew intencjom autora, stojącego wyraźnie na gruncie zasad kapitalistycznych. Natomiast tego rodzaju próby, jak rządy Bluma przed wojną nie są w istocie rzeczy nawet próbą szukania trzeciej drogi, a tylko przykładem strohmaństwa w stosunku do najbardziej klasycznego kapitalizmu.

Pozostaje zatem wybór: kapitalizm czy socjalizm. Decyzja zależy od wyboru celów, skoro każdy z tych ustrojów prowadzi do realizacji określonych celów. Jeśli chcemy osiągnąć maksymalny dobrobyt jednostek, burżuazji czy nawet jednego czy dwu narodów przy równoczesnej nędzy pozostałych społeczeństw — to niewątpliwie wybór musi paść na kapitalizm. Natomiast jeśli dążymy do pełnego rozwoju każdego człowieka, wszystkich narodów, a w rezultacie całej ludzkości, do rozwoju materialnego i moralnego, to jedyną drogą jest socjalizm.

Ustrój kapitalistyczny funkcjonuje już prawie sto lat. Przez długi okres czasu obejmował cały świat. Dlatego też można empirycznie ocenić jego wartość, względnie ustalić do jakich w zasadzie prowadzi rezultatów. Aczkolwiek temat ten posiada dość obfitą literaturę, to jednak dla zachowania pewnego wątku rozumowania, wydaje się celowe powtórzyć syntetycznie pewne konstatacje.

W okresie owych stu lat panowania kapitalizmu, przeżył świat dwie straszliwe wojny i to w odstępie zaledwie dwudziestu lat, przy czym okropność drugiej wojny była o wiele większa aniżeli pierwszej. Poza tym odbyło się wiele innych pomniejszych wojen. Istotnym podłożem każdej wojny — co dziś już wydaje się bezsporne — były antagonizmy w klasie kapitalistów, wyrażające się w walce, która w pewnym momencie przeobrażała się z walki gospodarczo - politycznej na walkę orężną. Poza tym wojna służy kapitalistom nie tylko jako metoda do osiągnięcia tych celów, których na innej drodze nie mogli osiągnąć, lecz sama jako taka stanowi imprezę przynoszącą kapitalistom olbrzymie zyski z tytułu dostarczania przez nich środków walki. Jakie są nowoczesne metody wojenne i jakie powodują skutki, nie trzeba chyba omawiać, gdyż wspomnienia ostatniej wojny są jeszcze zbyt świeże.

Drugim zjawiskiem, które również można całkowicie zapisać na konto ustroju kapitalistycznego to kryzysy gospodarcze. W okresie od 1820 do 1914 było dziesięć kryzysów w odstępach mniej więcej dziesięcioletnich. Wreszcie nadszedł kryzys najcięższy, którego największe nasilenie przypada na lata 1929 — 1932. Kryzys ten nosi miano strukturalnego, podczas gdy kryzysy poprzednie określano jako koniunkturalne. Wydaje się jednak, że nie ma różnic istoty pomiędzy tymi kryzysami, wszystkie są bowiem strukturalne, wynikają bowiem ze struktury ustroju kapitalistycznego. Natomiast różnica polega tylko w natężeniu objawów kryzysowych. Kryzys w latach 1929 — 1932 był dlatego tak silny, ponieważ organizm gospodarczy był wówczas znacznie bardziej rozwinięty, aniżeli w czasie poprzednich kryzysów. Skutki kryzysów są na ogół znane. Wystarczy tylko przypomnieć skutki najdotkliwsze — jak spadek produkcji, spadek wymiany, marnotrawstwo ogromnej ilości dóbr i wreszcie bezrobocie obejmujące milionowe rzesze robotnicze i spychające je do skrajnej nędzy. Ciężar kryzysu jednak nie dla wszystkich jest ten sam. Kapitaliści nie ograniczają własnej konsumcji, ich stopa życiowa nie obniża się. Przeciwnie, w okresie kryzysu wielu z nich korzystając ze wzrostu wartości pieniądza dysponuje większą siłą nabywczą, aniżeli w okresie boomu. Ciężar kryzysu spada przede wszystkim na masy pracujące i w pewnym stopniu na klasę drobnokapitalistyczną.

Lecz nie tylko wojny i kryzysy obciążają ustrój kapitalistyczny. Istnieje zjawisko, które występuje stale w tym ustroju niezależnie od tego, czy panuje wojna czy pokój, czy życie gospodarcze przechodzi tzw. boom, czy kryzys. Zjawiskiem tym jest niesprawiedliwy podział dochodu społecznego pomiędzy klasami społecznymi i narodami. Zjawisko to występuje w formie szczególnie drastycznej w okresie kataklizmów takich, jak wojna czy kryzys. W innych okresach jest mniej bijące w oczy, aczkolwiek właśnie wówczas np. w okresie boomu, narasta ze szczególną siłą.

Upośledzenie klasy robotniczej w ustroju kapitalistycznym jest problemem na ogół znanym i często rozważanym. Natomiast problemowi upośledzenia całych narodów znacznie mniej poświęca się uwagi. A przecież niezbitym jest fakt, że dobrobyt 47 milionów Anglików okupiony jest trudnościami 512 milionów narodów kolorowych, że bogactwo Francji liczącej 41 milionów ludności pochodzi przede wszystkim z eksploatacji 67 milionów ludzi innej rasy. Te same zjawiska występują w Portugalii, gdzie na 7 milionów Portugalczyków pracuje 10 milionów kolorowych, w Belgii, gdzie na 8 milionów Belgów pracuje 18 milionów afrykańskich Murzynów i wreszcie w Holandii, gdzie na 9 milionów Holendrów pracuje 71 milionów Indonezyjczyków. Te fakty podkreślam ze szczególnym naciskiem, gdyż często słyszy się opinię, że wymienione narody Europy Zachodniej zawdzięczają swój dobrobyt właśnie ustrojowi kapitalistycznemu. Nic bardziej fałszywego. Dobrobyt tych narodów pochodzi przede wszystkim z bezwzględnej eksploatacji kolonii i jest okupiony nędzą setek milionów ludów kolonialnych. Cóż z tego, że tu i ówdzie na terenie kolonii powstaje miasto czy fabryka, kiedy te miasta i fabryki są nadal miejscami wyzysku tubylców. A jeśli nawet gdzie niegdzie zaznaczy się wzrost dobrobytu to jest on niczym w stosunku do bogactw zagarnianych przez państwa kolonialne dla metropolii.

Równocześnie należy rozwiać nimb jakoby Stany Zjednoczone zawdzięczały dobrobyt ustrojowi kapitalistycznemu. Źródłem tego dobrobytu są następujące elementy: 1) Ogromne bogactwa naturalne, 2) olbrzymi wysiłek mas pracujących, 3) wyniszczenie ludności tubylczej, 4) eksploatacja Europy w wyniku dwu wojen światowych, 5) eksploatacja krajów kolonialnych, względnie półkolonialnych j. np. Chin. Faktem jest niewątpliwym, że obie wojny światowe przyczyniły się do likwidacji kryzysu gospodarczego w Stanach Zjednoczonych. Przed 1914 r. Stany Zjednoczone uginały się pod ciężarem długów zaciągniętych w Europie. Pierwsza wojna światowa pozwoliła im nie tylko na spłatę długów wobec Europy, lecz również spowodowała zadłużenie się Europy wobec Stanów. Druga wojna światowa wyzwoliła Stany z jeszcze większego kryzysu. Zimą 1932/33 bezrobocie w Stanach Zjednoczonych wynosiło 13 milionów ludzi. New Deal Roosevelta zakończył się całkowitym fiaskiem. Dopiero koniunktura wojenna przyczyniła się do wzrostu zatrudnienia otwierając okres prosperity. Właśnie ostatni przedwojenny kryzys w Stanach Zjednoczonych jest najlepszym dowodem wadliwości ustroju kapitalistycznego, który nie potrafił nie tylko zapobiec kryzysowi, lecz nawet nie potrafił złagodzić jego skutków.

W dotychczasowych wywodach podano najbardziej zasadnicze zjawiska, które występują jako wynik wadliwości ustroju kapitalistycznego. Wyłania się pytanie jakie są przyczyny, że ustrój kapitalistyczny właśnie do takich prowadzi rezultatów jak wojna, kryzysy i niesprawiedliwy podział dochodu. Zwykle wymienia się bardzo wiele przyczyn. Jednakże wszystkie można sprowadzić do sprzeczności, jaka zachodzi pomiędzy rozwojem sił produkcyjnych, a układem stosunku produkcji. W wyniku postępu technicznego siły produkcyjne nabrały charakteru społecznego, co objawia się w ten sposób, że każdy produkt jest wynikiem nie pracy jednostki, lecz całego prawie społeczeństwa, że ogromna masa produkcji jest przeznaczona nie dla wytwórcy względnie nielicznego grona osób, lecz dla całego społeczeństwa. Natomiast układ stosunków produkcji pozostał nadal indywidualistyczny ponieważ środki produkcji pozostają nadal przedmiotem własności indywidualnej. A więc te czynniki, od których jest zależny byt i rozwój całych społeczeństw znajdują się w dyspozycji jednostek. Dyspozycje jednostek są uzależnione przede wszystkim od ich własnego interesu, który nie pokrywa się z tym, co można by określić jako dobro społeczne nie tylko ze względu na egoistyczny punkt widzenia, który zresztą jest regułą, lecz również dlatego, że jednostka przeważnie nie może ocenić co jest naprawdę zgodne z dobrem ogółu.

Postęp techniczny powoduje coraz większą koncentrację własności środków produkcji. Nowy wynalazek zakupiony przez kapitalistę pozwala mu na wyeliminowanie setek warsztatów i w końcu monopolizowanie w swoim ręku całej produkcji danego dobra. W ten sposób kapitalista skupia w swym ręku olbrzymią potęgę gospodarczą, która jest prawie równoznaczną z potęgą polityczną. Na tej drodze konflikt interesu społecznego z interesem indywidualnym doznaje coraz większego pogłębienia.

Sprzeczność pomiędzy społecznym charakterem sił produkcyjnych, a indywidualistycznym systemem własności prowadzi do wojen, gdyż właśnie są one wywoływane w imię interesu grupy, a nie w interesie społecznym, do kryzysów ponieważ kryzysy polegają przede wszystkim na braku skoordynowania rozmiarów produkcji z zapotrzebowaniem, wyrażającym właśnie interes społeczny, i wreszcie niesprawiedliwego podziału dochodu społecznego ponieważ właściciele środków produkcji zagarniają produkt który jest produktem społecznym.

I w ten sposób dochodzimy do istoty omawianego problemu. Rozwiązanie jest tylko jedno. Usunąć powyżej stwierdzoną sprzeczność przez uspołecznienie środków produkcji, a więc nadanie im tego samego charakteru jaki posiadają siły produkcyjne. I dlatego też na wstępie niniejszego rozdziału wyrażono pogląd, że istnieje tylko wybór między kapitalizmem a socjali-

stycznym ustrojem społeczno-gospodarczym. Własność prywatna na środkach produkcji tworzy cały zespół tych stosunków, które określa się jako kapitalizm. Kapitalizm prowadzi do wiadomych rezultatów. Jeśli chcemy ich uniknąć musimy obalić podstawę kapitalizmu tj. prywatną własność na środkach produkcji przez jej uspołecznienie, a uspołecznienie środków produkcji, to jak wyżej stwierdzono, podstawowa zasada socjalistycznego ustroju społeczno - gospodarczego.

Przeciwnicy kapitalizmu względnie jego objawów, a jednocześnie zwolennicy uszanowania prywatnej własności środków produkcji, wysuwają koncepcję upowszechnienia własności na środkach produkcji, aby na tej drodze zlikwidować potęgę gospodarczą jednostek i zapewnić uwłaszczonemu proletariatowi większy udział w dochodzie społecznym. Upowszechnienie własności w sensie fizycznego podziału zakładów pracy byłoby czystym absurdem jako zaprzeczenie postulatu racjonalizacji produkcji. Upowszechnienie własności w sensie idealnym występuje już teoretycznie w ustroju kapitalistycznym w formie spółek akcyjnych. Jednakże jest to tylko pozorne upowszechnienie własności, gdyż większość akcji znajduje się przeważnie w rękach jednostki czy jednostek.

A gdyby nawet ograniczyć prawo sprzedaży akcji i przez to zapobiec koncentracji akcji w jednym ręku to fakt, że zamiast jednego właściciela byłoby stu czy tysiąc właścicieli, nie zmieniałby istoty rzeczy. Zamiast bowiem konfliktu pomiędzy interesem społecznym, a interesem jednostki, powstałby konflikt pomiędzy tym samym interesem społecznym, a interesem grupy jednostek. Dla proletariatu nie jest istotnym posiadanie tytułu własności, natomiast jest decydującym zaspokojenie potrzeb. Udział w zyskach, który miałby zapewniać na przykład akcjonariat pracy może być realizowany (w Polsce już jest realizowany), bez owych niepotrzebnych komplikacji, w formie tak zwanej premii załogi.

Również błędnym jest pogląd, że dla wprowadzenia systemu gospodarki planowej, której dobrodziejstwa już są na ogół doceniane, wystarczy uspołecznić tylko część środków produkcji. Jest to koncepcja tzw. gospodarki dwusektorowej, w której część środków produkcji jest uspołeczniona, a część pozostaje własnością prywatną. Przede wszystkim należy zauważyć, że nawet gdyby taki model stworzyć to postęp techniczny, który będzie rozwijał się również w sektorze prywatnym, będzie nadal powodował koncentrację własności w tym sektorze, stwarzając tym samym elementy do rozszerzania gospodarki uspołecznionej. Jednakże abstrahując od przyszłości takiego modelu trzeba stwierdzić choćby na podstawie naszych doświadczeń, że współżycie dwu sektorów o zupełnie odmiennych celach jest bardzo trudne dla obu sektorów. Zasadniczym jednak czynnikiem przemawiającym przeciw utrzymaniu sektora gospodarki prywatnej w szerszym zakresie jest niemożliwość włączenia go w system planowania ogólnopaństwowego. Albo wprowadza się takie ograniczenia dysponowania własnością, że własność ta staje się fikcją, albo pozostawia się znaczną swobodę, która w rezultacie prowadzi do pewnego rodzaju dywersji w stosunku do planu państwowego, co zależnie od wielkości tego sektora w większym lub mniejszym stopniu utrudnia realizację planu. Stanowisko powyższe nie wyklucza jednak, że w pewnym okresie rozwoju gospodarki społecznej pozostawienie we władaniu prywatnym pewnych rodzajów środków produkcji może być uzasadnione.

Reasumując powyższe rozważania można dokonać następujących twierdzeń:

1) ustrój kapitalistyczny jest ustrojem aspołecznym skutkiem czego prowadzi do takich kataklizmów jak wojny i kryzysy gospodarcze, oraz niesprawiedliwego podziału dochodu społecznego,

2) likwidacja ustroju kapitalistycznego może nastąpić przede wszystkim przez uspołecznienie środków produkcji, gdyż własność prywatna na środkach produkcji jest zasadniczą podstawą tego ustroju,

3) częściowe uspołecznienie środków produkcji nie tylko nie zapobiega wszystkim ujemnym cechom ustroju kapitalistycznego, lecz równocześnie wywołuje dodatkowy chaos,

4) socjalistyczny ustrój społeczno gospodarczy polegający przede wszystkim na uspołecznieniu środków produkcji stwarza warunki do:

a) wprowadzenia pełnego systemu planowania zapewniającego maksymalną racjonalizację procesów gospodarczych,

b) rozwinięcia jak najszerszej współpracy międzynarodowej przyczyniającej się do pełnego rozwoju poszczególnych narodów,

c) oraz wyzwala szerokie masy społeczeństwa z wyzysku kapitalistycznego i niewolnictwa, stwarzając w ten sposób każdemu człowiekowi pracy pełne warunki rozwoju.

IV.

Oceniając socjalistyczną koncepcję ustroju społeczno gospodarczego w świetle społecznych encyklik papieskich, należy rozważyć oddzielnie trzy zagadnienia: 1) cele, 2) ocenę stanu faktycznego, 3) środki zaradcze.

Cel do którego prowadzi ustrój socjalistyczny określiliśmy powyżej. Jest nim rozwój materialny i moralny człowieka, poszczególnych narodów i w rezultacie całej ludzkości. Wszystkie cele, które winny przyświecać każdemu ustrojowi społeczno gospodarczemu w świetle encyklik dadzą sprowadzić się do jednego celu, do stworzenia podstaw materialnych dla rozwoju osobowości człowieka.

Jeśli uwzględni się, że rozwój osobowości człowieka właśnie polega na rozwoju materialnym i moralnym, oraz że rozwój człowieka osiąga się w społecznościach takich jak naród, że zatem ta społeczność musi również ulegać rozwojowi — to trzeba stwierdzić, że pod względem celów socjalistyczny ustrój społeczno gospodarczy spotyka się z pełną afirmacją encyklik.

Stwierdzając zgodność w zakresie celów pozytywnych można stwierdzić, co jest oczywiste, lecz godne podkreślenia, również zgodność w zakresie celów negatywnych to znaczy czemu ustrój ma przeciw działać, a więc np. wyzyskowi, anarchii w życiu gospodarczym, oszustwom itp.

Również zawarta w encyklikach ocena panujących stosunków społeczno - gospodarczych, czyli innymi słowy ustroju kapitalistycznego prawie całkowicie pokrywa się z oceną tego ustroju wynikającą z założeń socjalistycznego ustroju społeczno gospodarczego.

Leon XIII w encyklice Rerum Novarum pisze między innymi, że „Wskutek nieszczęśliwych stosunków bardzo wielka część ludzi wiedzie żywot istotnie nędzny i nieszczęśliwy, niegodny człowieka". „Produkcja i handel stały się niemal monopolem niewielu, a w ten sposób garstka bogaczów nałożyła jarzmo prawie niewolnicze stanowi pracującemu".

W czterdzieści lat później Pius XI w encyklice Quadragesimo Anno jest zmuszony ponownie powrócić do zagadnienia poruszonego przez Leona XIII i krytykę stosunków, które nie tylko nie uległy polepszeniu, lecz jeszcze znacznie pogorszyły się, poważnie rozszerza. Oto kilka fragmentów z tej encykliki. „Uderzającym w naszych czasach zjawiskiem jest skupianie się nie tylko samych bogactw, ale także ogromnej potęgi i despotycznej władzy w rękach niewielu". „Skupienie potęgi i bogactw w rękach niewielu jest naturalnym następstwem nieograniczonej wolnej konkurencji, która daje zwycięstwo tym... którzy walczą najbezwzględniej i którzy nie mają skrupułów sumienia". Dalszą konsekwencją tego skupienia jest walka o ujarzmienie samego życia gospodarczego, dalej walka o opanowanie państwa, jego środków i jego władzy, wreszcie walka między państwami „czy to w ten sposób, że poszczególne państwa oddają swoje siły polityczne w służbę gospodarczych interesów swoich obywateli, czy też w ten, że swojej przewagi i swoich gospodarczych środków używają do rozstrzygania międzynarodowych sporów politycznych". W innym miejscu Pius XI czynił zarzut stosunkom gospodarczym z powodu niestałości życia gospodarczego, anarchii rynku, dzikiej spekulacji itp.

Zacytowałem tylko niektóre ustępy z encyklik papieskich wyrażające ostrą krytykę kapitalizmu. Można by ich podać jeszcze o wiele więcej. Wydaje się jednak, że te które zacytowałem wystarczają w zupełności, aby stwierdzić, jak daleko posunięta jest zgodność encyklik z oceną tego ustroju, którą podałem w rozdziale poprzednim, a która stanowi podstawowe założenie dla uzasadnienia słuszności socjalistycznego ustroju społeczno gospodarczego.

Podkreślić należy również jak niezwykle silnie papieże domagają się zreformowania panującego ustroju. Ten postulat, Leon XIII, przeczuwając zresztą rozwój wypadków, wyraził w lapidarnym zdaniu: „Trzeba, aby każdy zabrał się do swego zadania i to jak najrychlej, bo inaczej dla zwłoki w leczeniu choroba nieuleczalną się stanie". Ten duch reformistyczny niewątpliwie jest bliski tej postawie, którą reprezentują ludzie opowiadający się za socjalistycznym ustrojem społeczno gospodarczym.

Środki zaradcze wysuwane przez papieży w encyklikach obejmują środki o charakterze materialnym i duchowym. Środki o charakterze duchowym dotyczą dziedzin moralności, w której głos papieży dla katolików jest całkowicie rozstrzygający.

Środki o charakterze materialnym dotyczą ograniczeń własności prywatnej oraz techniki życia gospodarczego, w zakresie której Pius XI uchyla się od wiążących sądów, stojąc na stanowisku, że Kościół nie powinien występować w tych sprawach, bo „do tego ani nie ma środków odpowiednich, ani nie jest powołany".

W zakresie ograniczeń prawa własności zachodzą niewątpliwie pewne różnice pomiędzy sformułowaniami encyklik i ograniczeniami wynikającymi z ustroju socjalistycznego. Na wstępie muszę jeszcze raz podkreślić, że ustrój socjalistyczny nie znosi w zasadzie prawa własności prywatnej tylko ją ogranicza do dóbr konsumcyjnych i użytkowych, wyłączając całkowicie spod prawa własności prywatne środki produkcji. Różnica z stanowiskiem zawartym w encyklikach polega na tym, że encykliki uznają prawo własności prywatnej również na środkach produkcji. Jednakże równocześnie trzeba podnieść, że prawo własności prywatnej na środkach produkcji może być w świetle encykliki Quadragesimo Anno ograniczane w podwójny sposób. Primo: pewne środki produkcji mogą być również wyłączone spod tego prawa czyli mogą być uspołecznione. Secundo dysponowanie własnością prywatną może być przez państwo znacznie ograniczone, co również można w pewnym stopniu traktować jako pewnego rodzaju uspołecznienie.

Trudno oprzeć się wrażeniu, że przy takim sformułowaniu prawa własności prywatnej, jakie jest zawarte w encyklice Quadragesimo Anno, różnica z sformułowaniem socjalistycznym dotyczy raczej stopnia ograniczeń, a nie samej zasady.

W tym przekonaniu umacniają jeszcze takie wypowiedzi papieży, jak Leona XIII, że „określenie własności poszczególnych jednostek Bóg zostawił przemyślności ludzi i urządzeniom narodów" oraz Piusa XI, „że ustrój własności podobnie jak i inne czynniki życia społecznego nie jest — świadczy o tym historia — niezmienny" i wreszcie najważniejsze, „zupełnie bowiem słusznym jest żądanie zastrzeżenia pewnych rodzajów dóbr dla państwa, gdy posiadanie tych dóbr daje taką potęgę, że jej ze względu na dobro państwa nie można prywatnym osobom zostawiać".

Powyższe sformułowanie nabiera szczególnego znaczenia na tle obserwowanych procesów polegających na coraz większej koncentracji własności prywatnej w stosunku do wszelkiego rodzaju środków produkcji. Monopolizacja całkowita, czy częściowa produkcji jakiegokolwiek dobra o znaczeniu społecznym niewątpliwie stwarza dla monopolisty szczególną sytuację, która jest groźną dla interesów ogółu.

W świetle powyższych wywodów wydaje się, że ustrój socjalistyczny nie znosząc zasady prywatnej własności, a jedynie ograniczając ją do dóbr konsumcyjnych i użytkowych bynajmniej nie narusza tezy, że własność jest prawem przyrodzonym skoro, jak to wynika z encyklik, a w szczególności z encykliki Quadragesimo Anno, ograniczenia prawa własności prywatnej mogą być bardzo daleko posunięte nie tylko w zakresie używania własności, lecz również i posiadania.

W końcu trzeba podkreślić, że zasada uznania prawa do odszkodowania z tytułu wywłaszczenia, uznana przez encykliki, bynajmniej nie koliduje z podstawowymi zasadami ustroju socjalistycznego.

Powyższa ocena socjalistycznego ustroju społeczno gospodarczego w świetle encyklik nie wyczerpuje oczywiście całej problematyki, tym niemniej wydaje się, że zostały poruszone kwestie najbardziej istotne.

Negatywne stanowisko encyklik w stosunku do socjalizmu dotyczy przede wszystkim światopoglądu materialistycznego, który w tych czasach, w których ukazały się encykliki stanowił prawie wyłączny światopogląd socjalistów. Poza tym wydaje się, że pewien wpływ na stanowisko encyklik miał fakt, że w owych czasach postawa socjalistów w stosunku do religii, a w szczególności w stosunku do katolicyzmu była dość agresywna. Natomiast odłączenie socjalistycznego ustroju społeczno - gospodarczego od światopoglądu materialistycznego pozwala na zasadniczo odmienną ocenę tego ustroju w świetle encyklik.

W końcu trzeba podkreślić, że społeczne encykliki papieskie, wymagają bardzo szczegółowego omówienia przede wszystkim pod kątem widzenia wykorzystania zawartych w nich myśli, posiadających wartość nieprzemijającą, do tych zmian w stosunkach społeczno gospodarczych, które zaszły od czasu ogłoszenia encykliki Quadragesimo Anno (1931 r.).

V.

Celem uniknięcia nieporozumień podkreślam, że tematem niniejszego artykułu były tylko zagadnienia dotyczące ustroju społeczno-gospodarczego. Nie poruszałem zagadnień światopoglądowych, które oczywiście wiążą się również z problemami społeczno-gospodarczymi, na co w toku niniejszego artykułu zwróciłem uwagę, tym niemniej stanowią zagadnienie wymagające oddzielnego omówienia. Dlatego też pominąłem sprawy: stosunku kościoła do państwa, wychowania i oświaty w ustroju socjalistycznym itp. Wszystkie te tematy zostaną na łamach naszego pisma omówione.

Z całym naciskiem podkreślam, że dla marksistów socjalizm jest zadaniem, a nie faktem. Tym bardziej dla nas, którzy chcemy oprzeć socjalizm o filozoficzne zasady katolicyzmu, idea socjalistyczna stanowi program, a nie jest opisem takiego, czy innego stanu faktycznego. Dużo walk ideowych, dużo trudu i ofiarności milionów ludzi dzieli nas jeszcze od realizacji zasad socjalizmu.

W końcu pod adresem moich czytelników wyrażam jedną tylko prośbę, aby byli uprzejmi po przeczytaniu niniejszego artykułu ponownie przeczytać artykuł poprzedni z nr 49 (rok 1948).

Konstanty Łubieński

WNĘTRZE

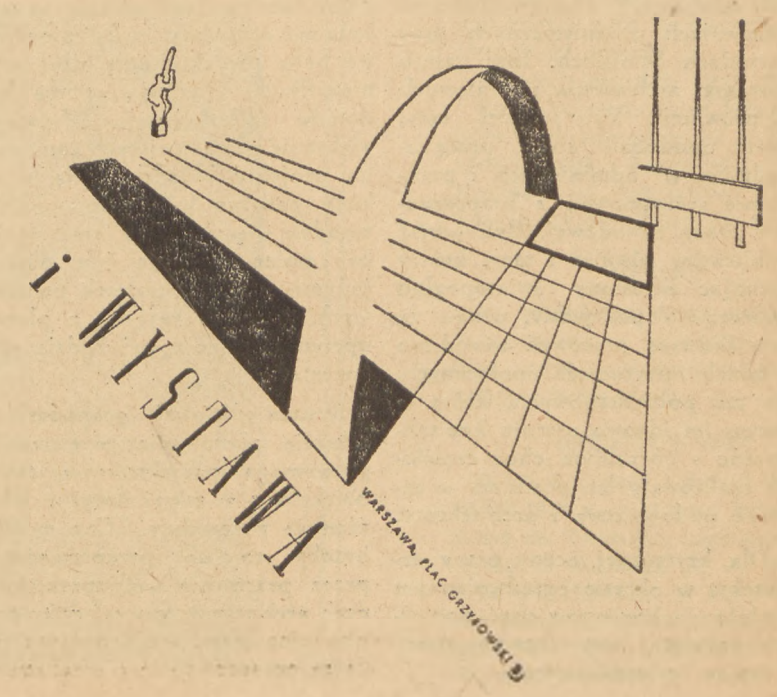

Jan Poliński

Projektowanie architektury

W ślad za przebudową ustrojową i społeczną Polski, realizowaną konsekwentnie przez marksistów, następują dalsze etapy przebudowy, których ostatnim wyrazem jest przystąpienie do zmian w zakresie sposobu pracy projektodawczej architektów. Projektowane i częściowo już realizowane Państwowe Pracownie oraz Państwowe Biura Projektów są tych zmian formą realizacyjną. Jako główny motyw potrzeby tego rodzaju sieci pracowni i biur wysuwana jest potrzeba usprawnienia pracy projektowania przestrzennego dla realizacji Narodowego Planu Gospodarczego. Potrzeba ta jest tym istotniejsza, że mała ilość architektów w Polsce tylko w formie wysiłku skupionego mogła będzie podołać czekającym ich zadaniom. Innym aspektem tej potrzeby jest postępujące naprzód uprzemysłowienie budownictwa, wynikająca z tego standaryzacja oraz z uwagi na postęp techniczny, konieczność równoczesnej współpracy większej ilości fachowców specjalistów. Również jako konieczność podawany jest fakt zmiany rodzaju klienteli architektów z prywatnych na jednego klienta — państwo.

Chcąc ustosunkować się do tych nowych form pracy architektonicznej musimy zdać sobie sprawę, jak dotychczas wyglądała praca architekta w naszym kraju tak w okresie do 39 r. jak i w latach ostatnich. Konieczne wydaje się również wzięcie pod uwagę wytycznych zmierzających do usprawnienia funkcjonowania nowego ustroju politycznego dla potrzeb szybkiej odbudowy, zniszczonego wojną, i przebudowy zacofanego cywilizacyjnie kraju.

Krytyka oparta o konkretne propozycje zmian może w dużym stopniu ułatwić przebudowę i może dla realizacji projektu, stworzyć szerszą platformę poparcia od strony zainteresowanej bezpośrednio masy architektów. Że poparcie takie jest ważne nie potrzeba udawadniać. Ostatni Zjazd Delegatów S.A.R.P-u we Wrocławiu i przebieg dyskusji w tej sprawie również uzasadniają tego konieczność.

Sposób pracy zawodowej architektów w okresie przedwojennym cechowało wyraźne zróżniczkowanie. Istnieli architekci wolnopraktykujący, którzy projektowali i opracowywali projekty w swych prywatnych pracowniach, przeważnie w domu. Istnieli architekci, którzy pracowali w pracowniach państwowych, przy różnych ministerstwach, a których przedmiotem projektowania były wewnętrzne potrzeby tych ministerstw. Inni pracowali w pracowniach urbanistycznych przy Zarządach Miejskich. Inni pełnili obowiązki architektów powiatowych na prowincji. Byli również tacy, którzy upodobali sobie pracę urzędniczą w administracji i praktycznie zrezygnowali z bezpośredniej pracy zawodowej. Byli wśród architektów również i tacy, którzy wyznając określony światopogląd społeczno - polityczny, uznali za najwłaściwsze pracować zawodowo w takich instytucjach społecznych, czy też półpaństwowych, które w obcym im ideowo ustroju kapitalistyczno - liberalnym choć częściowo realizowały ich postulaty w zakresie budownictwa i architektury.

Dla krytycznej oceny pracy architekta w okresie przedwojennym wydaje się konieczne choć pobieżnie naświetlić atmosferę tej pracy i realne jej możliwości.

Czy każdy młody, wchodzący w życie zawodowe, architekt miał możność równego startu?

Czy nieraz warunki ekonomiczne wielu architektów zmuszały ich do rezygnacji z zamierzeń specjalizacji i zmuszały do objęcia takiego rodzaju pracy, który najmniej im odpowiadał?

Nie jest tajemnicą, że pomimo znikomej ilości architektów w stosunku do potrzeb naszego kraju, nawet w naszym zawodzie byli architekci bezrobotni oraz, że tylko nieznaczna część nowych architektów mogła natychmiast po ukończeniu praktyk i uczelni przystąpić do samodzielnego wykonywania zawodu. Różny może być dziś pogląd, jakie były przyczyny tego stanu rzeczy. Osobiście uważam, że podobnie jak miało to miejsce np. wśród świata literackiego ówczesnej Polski, tak również i w świecie architektów istniała nieliczna ilościowo elita architektów wolnopraktykujących, która poprzez poparcie ówczesnego rządu, a częściowo i władz uczelnianych, decydowała o podziale poważniejszej pracy architektoniczneej. Dla innych jedyną drogą wybicia się był udział w konkursach architektonicznych, zdobycie nagród, które w praktyce i tak często poza nagrodą pieniężną nic nie dawały, gdyż większy projekt bywał zazwyczaj, niezależnie od przyznania nagrody, oddawany do realizacji architektowi z uznanej elity. Faktem jest i trudno byłoby to przemilczeć, że wśród przedwojennej elity znajdowało się kilku wybitnych architektów, którzy realizując swoje projekty zaważyli w kilku większych miastach na ich obliczu architektonicznym i wytworzyli pewien styl, który odbijał na tle ogólnej brzydoty i przypadkowości bezplanowej.

O przedwojennych doświadczeniach z zakresu istniejących ówcześnie pracowni przy ministerstwach można tylko tyle powiedzieć, że realność ich pracy była ściśle uwarunkowana od wpływów odpowiedniego ministra u decydujących czynników w zakresie inwestycji. Sama zaś metoda pracy i wydajność ilościowa jak i jakościowa były gorsze lub lepsze o tyle, o ile więcej odpowiada komuś metoda pracy urzędniczej od wolnej, nie wyznaczonej godzinowo. Faktem jest, że byli tacy, którzy uzyskiwali najlepsze wyniki w pracowniach zespołowych. Wielu było takich, których projektowanie było tylko realne w samotności. W zakresie klienteli architektów, dużą przesadą jest twierdzenie, że przeważała klientela prywatna. Ubogość naszego społeczeństwa, nawet tego odłamu, który zamieszkiwał większe miasta, była tak oczywista, że jedynie możliwe było projektowanie dla niego niewielkich budowli, przeważnie domów mieszkalnych. Natomiast większość poważniejszych zamówień na projekty była skupiona w rękach państwa lub samorządu. W zasadzie więc jakość klienta zostaje bez zmian. Zmianą jest obecnie jedynie wielkość potrzeb państwowych, które w związku z planem uprzemysłowienia wsi będzie stale wzrastać.

System planowej gospodarki w zakresie planowania przestrzennego wymaga projektowania takich obiektów i w takiej ilości w jakiej plan je przewiduje. Czy możliwe byłoby to do przeprowadzenia przez pracownię wolnopraktykujących architektów, czy też tylko organizacyjna interwencja państwa może to przeprowadzić i zrealizować?

Fakty realizacyjne wskazują na to, że dyskusja na ten temat byłaby obecnie ściśle teoretyczną. Pozostaje więc zastanowić się jakie formy organizacyjne państwowych pracowni byłyby najwłaściwsze dla osiągnięcia najlepszych wyników. Chodzi tu przecież nie tylko o ilość ale również i jakość architektury.

Organizacją społeczną i zawodową architektów w Polsce jest S.A.R.P. (Stowarzyszenie Architektów Rzeczypospolitej Polskiej). Organizacja ta powstała jeszcze w okresie przedwojennym poprzez zlanie się kilku różnych organizacji architektów i dzięki temu cieszy się od dawna uznanym powszechnie autorytetem. W obecnym ustroju jest ona formalnie jednym ze Związków Zawodowych, ale równocześnie przez swoich przedstawicieli bierze udział w życiu świata artystycznego. Również oficjalne czynniki rządowe poprzez Ministerstwo Kultury i Ministerstwo Odbudowy korzystają z usług SARP-u w formie głosu doradczego dla różnych zagadnień. Stosunek czynników oficjalnych do SARP-u wydaje się być bardzo przychylny. Wyrazem tego jest choćby wspaniały gmach SARP w Warszawie i stałe ukazynie się „Architektury". Odnosi się jednak wrażenie, że wzorzec ustrojowy naszej państwowości, jak i postępujące naprzód potrzeby państwa wymagałyby dalszego powiązania organizacji i ściślejszego jeszcze współdziałania. Pracownie architektoniczne mogłyby w chwili obecnej stać się tego wyrazem. Fakt, że jest to organizacja społeczna tej części fachowców, która bezpośrednio przez pracę swych członków kształtuje kulturę architektoniczną Polski winien być w pełni przez państwo wykorzystany. Właśnie w okresie zmian metody pracy architektów traktowanie S.A.R.P-u wyłącznie w roli doradczej wydaje się za słabe. Zrozumiałe jest, że możność realnego wykorzystania każdej organizacji społecznej łączy się ściśle z jej dojrzałością polityczno-społeczną. Myślę jednak, że dotychczasowy dorobek prac tej instytucji upoważnia do tego, by można jej nadać możliwość autoratywnego oceniania projektów architektonicznych w państwie uspołecznionym. Dużym osiągnięciem SARP-u jest udział jego w K. C. Związków Zawodowych z innymi wykonawcami budownictwa, aż do najniższych szczebli. Pełny jednak wpływ społeczności architektonicznej na kulturę narodową będzie tylko wtedy możliwy, gdy umożliwi się organizacji tej społeczności całkowitą decyzję realizacji kultury architektonicznej w państwie. Możliwe jest, że projektodawcom ustanowienia państwowych pracowni architektury, bez pełnego udziału SARP-u przyświecał cel wyższy tj. szybka przemiana konieczna dla okresu odbudowy. Celem jednak winno być uspołecznienie.

Forma upaństwowienia może również mieć różne oblicze zależne od metod realizacyjnych i typu organizacyjnego. Czynniki decydujące przestrzegają często społeczeństwo przed przerostami biurokracji. W tym właśnie wypadku głównym niebezpieczeństwem, które może zaistnieć, jest zbiurokratyzowanie twórczości. Praca twórcza, a szczególnie praca twórcza typu plastycznego i to jeszcze o charakterze przestrzennym wymaga specjalnych warunków dla jej wykonawców. Doświadczenie uczy, że warunki te są różne dla różnego typu ludzkich indywidualności. Jest to przyczyna, która uniemożliwia zbyt mechaniczne podejście do tego problemu. Wydaje się konieczne zróżniczkowanie stopnia upaństwowienia dla różnego typu specjalizacji architektonicznej. Powszechnie wiadomo, że czym projektowanie przestrzenne jest bardziej duże, im większa jest jego skala, tym większa potrzeba pracy kolektywnej. Projektowanie mniejsze i bardziej szczegółowe wpływa na zmniejszenie jednostkowe decyzji projektodawczej. Planowanie regionalne i urbanistyczne już od dawna jest najskuteczniejsze w zespołach większych. Natomiast zbliżenie się projektowania do zagadnień wnętrza, sztuki stosowanej i poszczególnych przedmiotów bardziej sprzyja zdekoncentrowaniu decyzji projektodawczej.

Ostatnią, a bodaj że decydującą sprawą dla tworzących się pracowni to ich regulaminy wewnętrzne. Nie jest dla projektu rzeczą obojętną w jakim czasie i pod jakimi rygorami ma on powstać. Oczywiście decydować musi termin jego zapotrzebowania. Rozwiązania mogą być jednak bardzo różnorakie. Decyzja ostateczna leży w rękach tych kolegów architektów, którzy z tytułu zajmowanych dziś stanowisk tworzą nową rzeczywistość. Możemy mieć nadzieję, że na równi z innymi architektami znają oni twórczą pracę architekta ze swych własnych doświadczeń na podstawie których powezmą decyzję zgodną z wymogami tej pracy.

Jan Poliński

Nabyć, czytać, nie czytać?...

Mgr. Janina Kacperska — Germanizacja dzieci polskich w okresie okupacji. Nakł. Min. Pracy i Op. Społecznej. Warszawa, 1948 r., str. 74.

Zbrodnicza działalność niemiecka w stosunku do narodu polskiego miała wiele przejawów. Ujawniały się one i ujawniają w miarę, jak normalizują się warunki umożliwiające prace badawcze. Wielkim i bolesnym rozdziałem tej działalności jest zagadnienie germanizacji. Jedną z metod tego zagadnienia, a mianowicie germanizację dzieci odsłania praca mgr. Janiny Kacperskiej.

Autorka za pomocą materiałów zebranych z akcji rewindykacji i jedynie części posiadanych dokumentów niemieckich, wprowadza czytelnika w istotę działalności i zamiarów niemieckich wobec dziecka polskiego. Wykazuje, że germanizacja dzieci polskich opierała się na założeniach panującej w Niemczech hitlerowskich ideologii rasy. Że była ona częścią ogólnej państwowej akcji germanizacyjnej, w którą wciągnięte były siły naukowe oraz czynnik społeczny (w znacznym stopniu zagadnienie to ułatwiający). Te czynniki są poparciem dalszych, wykazujących precyzyjność metod niemieckich w zacieraniu śladów polskości. Toteż wyników liczbowych przeprowadzonej germanizacji dzieci nie da się ściśle ustalić, niemniej jednak szacunek liczbowy tych wyników waha się około stu tysięcy.

Do uwypuklenia powyższych stwierdzeń w znacznym stopniu przyczyniają się ciekawie opracowane tablice danych statystycznych itp., zestawienie materiału źródłowego, na który składają się interesujące dokumenty, a zwłaszcza autentyczne zeznania rewindykowanych dzieci, czy zamierzenia Niemców w tej dziedzinie.

„Niemniej wysunięte dotychczas wnioski — stwierdza autorka w zakończeniu — uzupełnione być muszą dalszymi, dotyczącymi praktycznej działalności, zmierzającej do zlikwidowania skutków germanizacji". Szczególny nacisk położyć należy na dalszą kontynuację akcji rewindykacyjnej, specjalną opiekę dla dzieci rewindykowanych, równoległe prowadzenie akcji zmierzającej do całkowitego zrozumienia zagadnienia, zarówno wśród czynników oficjalnych, jak i szerokiego ogółu społeczeństwa.

Jeśli chodzi o to ostatnie to można śmiało stwierdzić, że praca Kacperskiej w znacznym stopniu zadanie to winna spełniać.

Teodora Feder — Małgorzata Fornalska, bohaterka narodu polskiego. „Książka", Warszawa, 1948 r., str. 34.

Autorka daje nam przegląd faktów z życia „Jasi" (pseudonim Małgorzaty Fornalskiej) od dzieciństwa, poprzez pobyt w Zw. Radzieckim, następnie działalność w okresie międzywojennym na terenie KPP i pierwsze lata wojny (t. j. do śmierci z rąk gestapo). Te fakty kronikarskie przeplatane są wstawkami ideologicznymi, co trochę zaciera wyrazistość obrazu. Operując dość bogatym materiałem źródłowym — jak wynika z treści — autorka nie potrafi go umiejętnie wykorzystać, naświetlając fakty raczej zbyteczne i często drugoplanowe.

M. Rulikowski — Przyszłe teatry w Warszawie. D. J. W. 1948 r., str. 46.

Nasi urbaniści ukazują nam miraż przyszłej Warszawy w świetle tak oślepiającym, każąc nam wierzyć, że stolica nasza stanie się jednym z najpiękniejszych, najzdrowszych i najracjonalniej pomyślanych wielkich miast europejskich, iż trudno oprzeć się pokusie włączenia do tego wspaniałego obrazu fragmentu, pomyślanego w takiej samej skali. A przecież nie można zaliczyć jej do dziedziny fantastyki, gdyż opiera się ona na dosyć ścisłych obliczeniach"— tak brzmi jeden z fragmentów zakończenia tej małej książeczki, będącej odbitką z miesięcznika „Teatr".

Tym ścisłym obliczeniom poświęcona jest druga część broszurki, pierwsza bowiem ma „charakter nieco akademicki", jak stwierdza autor. Są to bowiem rzeczy na ogół znane, ale że o takich w odpowiedniej chwili zapomina się, dobrze będzie gdy się je przypomni. Oto one: 1. Teatry, które musimy wybudować w Warszawie, muszą być równomiernie i wg. przemyślanego planu rozrzucone na całym obszarze stolicy. 2. Nieproporcjonalnie większa liczba teatrów w samym śródmieściu może stanowić od powyższej zasady wyjątek, usprawiedliwiony jej specjalnym charakterem, 3. Każdy nowowznoszony teatr musi być budowlą wolno stojącą. 4. Przy trosce o wewnętrzne rozplanowanie i urządzenie teatru nie można lekceważyć architektury zewnętrznej. 5. Rozplanowanie, urządzenie i dekoracja wnętrza nie mogą być wyrazem fałszywie pojmowanego demokratyzmu. 6. We wszystkich sprawach związanych z budową teatru powinni mieć głos ludzie teatru.

Wspomniana wyżej II-ga część zajmuje się zagadnieniem, ile teatrów, a ściślej ile miejsc w salach widowiskowych powinna posiadać Warszawa. Odpowiedzi na to pytanie należy szukać w statystyce jej ludności i w danych, dotyczących frekwencji w teatrach, załączonych do tekstu. (Projekt odbudowy i budowy teatrów warszawskich ograniczony dwoma dziesięcioletnimi okresami budowlanymi preliminuje liczbę miejsc na około 15 tys.).

Autor wychodząc z założenia, że Warszawie ciągle będzie przybywało teatrów, podkreśla konieczność zwrócenia uwagi, by proces ten odbywał się wg. założeń odpowiadających potrzebom chwili. Toteż praca niniejsza idzie „pod sąd publiczności", a zwłaszcza tej, której bliska jest sprawa teatru.

Jur. R.

Dominik Horodyński

Z notatnika podróży

Piątek.

Przybyszowi z Polski, kraju w którym nie ma ani jednego dużego miasta, jest dosyć trudno zorganizować sobie życia w Londynie. Wszystko w porządku dopóki włóczę się po muzeach, kinach i teatrach, ale gdy zaczynam spotykać ludzi, umawiać się na rozmowy i nawiązywać t. zw. kontakty, zaraz powstają nieporozumienia. Na drugie w ciągu dnia spotkanie spóźniam się o godzinę, na trzecie o półtorej, na czwarte nie zjawiam się w ogóle, narażając się na opinię nieodpowiedzialnego człowieka. Pomału uczę się, że człowiek z zewnątrz, który chce na podstawie rozmów zorientować się trochę w problemach życia angielskiego i emigracji polskiej, musi mieć bardzo dużo czasu i cierpliwości. W ciągu dnia zdąży rozmówić się z dwoma, najwyżej z trzema osobami i żadne nerwy tu nie pomogą, trzeba zastosować się do warunków i zwyczajów.

Przeciętny mieszkaniec Londynu zna gorzej swe rodzinne miasto, niż niejeden cudzoziemiec - turysta, jako że porusza się głównie na trasie dom — miejsce pracy. Nie jest to właściwość wyłącznie życia londyńskiego, pamiętam, że jeszcze w czasie wojny znałem paru mieszkańców Starego Miasta, którzy nigdy poza granice tej zacnej dzielnicy nie wyglądali. Ale czym miasto jest większe i czym życie bardziej uregulowane, tym objaw ten jest powszechniejszy, a Londyn jest ciągle największym miastem na świecie i życie angielskie wzorem dokładności. Rozwija się i upływa między domem, miejscem pracy i klubem. Można by jeszcze dodać bar, ale z wyraźnym ostrzeżeniem, aby ludzie nie znający krajów anglosaskich nie mylili baru z kawiarnią i z całym klimatem, który z tym pojęciem się łączy. W Londynie, w ogóle w Anglii, tak jak i w Stanach, żadnych kawiarni nie ma. A kawiarnia, chociaż zjawiła się we Francji dopiero w XVII wieku, jest jednak jakąś ewolucyjną formą greckich i rzymskich łaźni, miejscem, gdzie traci się czas, a równocześnie załatwia i omawia najistotniejsze sprawy. Kawiarnia, niby drobna rzecz — taka mała cegiełka cywilizacyjna, a gdy się ją usunie cały gmach się zmienia. Potrzeba wyrwania paru chwil z godzin pracy dla stolika kawiarnianego, jest niewątpliwie nawykiem niestosowanym dla urzędnika idealnego, ale ryzykownym byłoby twierdzenie, że kultura powstawała dzięki idealnym urzędnikom. Osobiście nie mam zaufania do idealnych wzorów i podobną nieufność odczuwam wobec ludzi potępiających kawiarnie, jak i wobec tych, którzy nigdy kropli alkoholu nie biorą do ust. Anglicy zresztą piliby chętnie, gdyby było co i za co, a dzisiejsi mieszkańcy wyspy nic nie są winni temu, że ich purytańscy przodkowie nie dali się zarazić kawiarnią. Za szczególne gusta purytańskich przodków trzeba płacić nadal i w różnych domenach życia. Gdy kiedyś usłyszałem przez radio grany na organach w zwolnionym tempie foxtrot, mój przyjaciel zauważył: „narodowym instrumentem Rosjan jest harmoszka, Anglików organy — stąd zaczyna się różnica". Anglicy różnią się zasadniczo od wszystkich narodów kontynentu, ale o tym i w ogóle o Anglikach napiszę trochę później. Dzisiaj wspomnę tylko, że odwiedziłem Food Office, aby dostać kartki żywnościowe. W życiu nie byłem w żadnym urzędzie, tak grzecznie i sprawnie załatwiony. Nie sądzę, aby gdziekolwiek na świecie mogli być lepsi i milsi urzędnicy. Są oni jednym z fundamentów wyjątkowej dyscypliny społecznej, w której z Anglią mogą się równać tylko kraje skandynawskie. Dzięki tej dyscyplinie Anglia jest krajem całkowicie już dojrzałym do socjalizmu.

Nie tylko odległości utrudniają mi życie w Londynie. Stale gubię się w mieście, mimo, że zaopatrzyłem się w dokładny plan. Trudność polega na tym, że nikt absolutnie z londyńczyków nie wie, jaki jest klucz numerowania domów. W każdym razie numer 115, może z łatwością sąsiadować z numerem 4 albo dwa domy stojące koło siebie po bliższym zbadaniu okazują się należeć do zupełnie innych ulic, albo dom w podwórzu będzie miał inną nazwę ulicy, od domu z frontu itd. Z tym, że te wszystkie tajemnice znane są tylko mieszkańcom domu, o który w danym wypadku chodzi, nikomu poza tym. Ponieważ szereg ulic nosi nazwy nazwisk zasłużonych obywateli, więc chcąc się trochę poduczyć pytam zawsze, kim był obywatel, któremu poświęcono ulicę. Dotychczas nie zdarzyło mi się otrzymać odpowiedzi, co przypomina mi analogiczne rozrywki historioznawcze, uprawiane z podobnym wynikiem w Warszawie i Łodzi. Opierając się na tych doświadczeniach, pragnę zaproponować prezydentowi Warszawy wejście do historii, przez przeznaczenie odpowiedniej kwoty w budżecie magistrackim na inaugurację zwyczaju umieszczania pod nazwami ulic, jeżeli są to imiona własne, odpowiednich tabliczek z krótkim życiorysem, wyliczeniem zasług itd. — Ach, można by napisać cały felieton o wpływie wychowawczym takiej inowacji na młodzież.

Wczoraj byłem na balecie Catherine Danham. Warto o tym parę słów napisać, ponieważ Catherine Danham jest w tej chwili jedną z najsławniejszych kobiet w Zachodniej Europie i obu Amerykach — coś, jak pani Evita Peron. Catherine, mulatka z ojca murzyna i matki francuski, jest doktorem antropologii, a jej brat — uczeń, spadkobierca myśli i wydawca dzieł Whiteheada — gwiazdą współczesnej filozofii. Jako stypendystka Rockefellera wysłana została na wyspy Karaibskie dla studiów nad sztuką krajowców.

Jak wiadomo, całkowicie niemal wymarli Karaibowie, należą do najbardziej prymitywnych plemion. W dusznym klimacie Antylów, na tle bujnej, groźnej roślinności, zawsze ciemno błękitnego nieba i parnych nocy z ogromnym księżycem (o wiele większym niż u nas), zrodziły się ich dziwne podania i tajemnicze obrzędy. Catherine wróciła stamtąd jako gotowa artystyka. W Nowym Jorku zorganizowała własny balet, spełniając w nim rolę dyrektora, dekoratora, kierownika muzycznego i pierwszej tancerki. Dzisiaj ma „publicitie", największej artystki świata. 30. lat i piękne nogi. Sława jej w czasie gościnnych występów w Londynie jeszcze bardziej wzrosła i ostrożna zwykle w pochwałach prasa brytyjska, prześcigała się w zachwytach, ogłaszając sztukę Catherine Danham za prekursorską, za sztukę jutra.

Jakież są wrażenia laika?

Otóż jest to sztuka wyłącznie zmysłowa, erotyczna. Wspaniała zmysłowość świateł barw gestów i rytmu, niesamowitego rytmu. Obrazy baletowe ilustrujące podania i tragedie krajowców, przez doskonałość dekoracji, technikę taneczną zespołu, poetyczny czas tajemniczych ludów podzwrotnikowych i geniusz Catherine — olśniewające, chwilami nieprawdopodobne piękne. Obrazy opowiadające o życiu Ameryki, o Chicago i Nowym Jorku, równie nieprawdopodobnie wulgarne. Sama Catherine — pewna siebie, erotyczna, arogancka, no i genialna.

Kiedyś w Rzymie opowiadał mi jeden z przyjaciół o rozmowie z mądrym kardynałem przed freskami etruskimi: „na tych freskach widzi pan lud na wymarciu — zauważył kardynał — widzi pan zwiodczałych mężczyzn i dziwnej piękności kobiety. Mądra natura, aby przedłużyć konanie tego ludu, dała mu kobiety, które są wykwitem piękna zmysłowego, uroku i niepokojącego wdzięku — wszystko po to, aby mężczyzn ginącej rasy, jeszcze jakoś zachęcić do kontynuowania". — Wspomnienie tej rozmowy wynurzyło mi się z pamięci, gdy rozglądnąłem się po sali w przerwie spektaklu. Siedzący obok mnie młodzi ludzie mieli takie miny, jakby zaraz chcieli powrócić do ulubionego zajęcia — rozwiązywania krzyżówek. Wydało mi się, że niektórym odpowiednie świstki papieru wystają z kieszeni. Nawet jeżeli tak nie było, trudno być optymistą co do jutra tego świata, którego sztuką przyszłości ma być sztuka Catherine Danham. Nie pamiętam, abym z jakiegokolwiek teatru wychodził tak oczarowany.

Dziś odbyłem ciekawe i bardzo różne rozmowy z dwoma katolikami angielskimi, reprezentującymi zwalczające się koncepcje społeczne i polityczne. Potem spotkałem na kawie u Dakowskiego (naprawdę) inteligentnego emigranta, bardzo reakcyjnego i bardzo nienawidzącego Anglików. Ten stan uczuciowy jest u emigrantów polskich bardzo zresztą powszechny. Mój znajomy opowiedział mi historyjkę, która dobrze charakteryzuje kilka spraw naraz: „Zaraz pan zrozumie jacy ci Anglicy są straszni, jakie to głupie dranie. To są sadyści i rasiści, jakich świat nie widział. Czy pan wie, że w Afryce Południowej traktują Murzynów sto razy gorzej niż Niemcy Polaków w Warszawie w ostatnim roku okupacji. Za przyjaźń z murzynką biały musi natychmiast opuścić kraj, w Kapsztacie nie wolno murzynom jeździć tramwajami i muszą biegać piechotą itd. Ale to wszystko głupstwo. Najstraszniejsze, że do Kapsztatu co jakiś czas zawijają handlowe statki sowieckie. Oficerowie wyjeżdżają na miasto samochodem biorąc ze sobą paru murzynów, z którymi są w najlepszej komitywie. Czy pan rozumie co się dzieje? Świat się wali, całe miasto, cała Afryka o tym mówi. Widzi pan draństwo tych Anglików? — Oni na to pozwalają! Dla handlu!"

Mój znajomy zrobił się cały czerwony. No, no.

Wieczorem odwiedziłem dobrą i kochaną ciotkę. Spędziłem w jej małym i brzydkim pokoju rozkosznych parę godzin na pogwarkach, raczej smutnych i bez znaczenia, a dawno nie było mi tak dobrze. Dziwna jest tęsknota każdego z nas do jakiegoś uczucia. Nazywano to za czasów mojego dzieciństwa potrzebą ciepła rodzinnego — taki sobie burżuazyjny nawyk.

Przed chwilą zamknąłem uroczą książeczkę, którą warto by u nas przetłumaczyć. Nazywa się „Education européenne" — wychowanie europejskie. Napisana przez Francuza w 1943 r. w Londynie, opowiada o partyzantce polskiej.

Jest w tej książce — dość zresztą dalekiej od ścisłości historycznej — coś dziwnie urzekającego. Przejmujący wdzięk nawet w opisach najokrutniejszych rzeczy, taki jak w prymitywnych obrazkach, dzieci polskich z wizją egzekucji ulicznych. Gdy się tę infantylną na pozór książkę zamyka, jest się po bardziej wstrząsającej lekcji o potwornościach zła i wojny, niż po zwiedzeniu baraków Oświęcimia, czy przestudiowaniu najbardziej realistycznych opisów zbrodni.

Zapisuję przetłumaczony fragment rozmowy dwojga nieszczęśliwych dzieci. Ona jest prostytutką i agentką partyzanckiego wywiadu, on żołnierzem partyzantki, dzieckiem bezdomnym. Ich zsumowane lata nie sięgają 30, kochają się, sami mają mieć dziecko i marzą tak jak tylu walczących i cierpiących ludzi tej wojny, o nowym, lepszym świecie.

„— Jaki będzie ten nowy świat?

— Będzie bez nienawiści.

— Więc trzeba będzie zabić dużo ludzi...

— Trzeba będzie zabić dużo ludzi.

— I nienawiść zawsze pozostanie... Będzie jej jeszcze więcej niż przed tym.

— A więc nie zabije się ich. Ich się wyleczy. Da się im jeść. Zbuduje się im domy. Da się im muzykę i książki. Nauczy się ich dobroci. Nauczyli się nienawiści mogą nauczyć się dobroci.

— Nienawiści nie można się odduczyć. Jest jak miłość.

— Znam nienawiść. Niemcy mnie jej nauczyli. Nauczyłem się jej tracąc rodziców. Będąc głodnym i zmarzniętym, żyjąc w lesie pod ziemią i wiedząc, że gdyby mnie Niemiec spotkał na drodze nie podałby mi menażki, nie zrobiłby mi miejsca przy swoim ognisku, wszystko co miałby dla mnie — to kulę. Bo Niemcy mają kule dla wszystkich rzeczy. Kulę dla piersi, kulę dla nadziei, kulę dla piękna i kulę dla miłości... Nienawidzę ich.

— Nie trzeba. Gdy będziemy mieli dzieci nauczymy ich kochać, nie nienawidzieć.

— Nauczymy ich także nienawidzieć. Nauczymy ich nienawidzieć brzydotę, zazdrość, przemoc, faszyzm...

— Co to jest faszyzm?

— Nie wiem dokładnie. To jest sposób nienawidzenia.

— Nasze dzieci nie będą nigdy głodne. Nie będzie im nigdy zimno.

— Ani głodu, ani zimna.

— Obiecaj mi to.

— Obiecuję. Zrobię co tylko mogę".

Dominik Horodyński

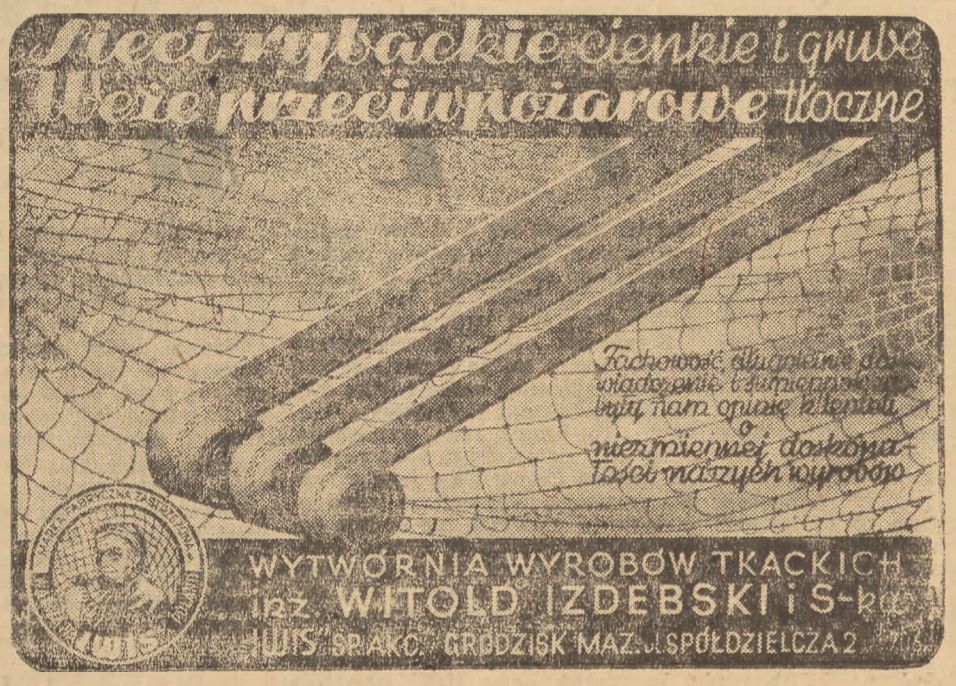

OGŁOSZENIA

Ukazał się już drugi tom książki
S. Marii Renaty od Chrystusa Niepokalanki
pod tytułem

VIVERE CUM ECCLESIA

obejmującej święta
Bożego Narodzenia

Na obecny tom składają się rozdziały: I. Nativitas Domini, II. Świta Małego Króla, III. Obrzezanie, IV. Najśw. Imienia Jezus, V. Epiphania Domini. Książka została wydana w miłej szacie zewnętrznej, na dobrym papierze i w wygodnym formacie (szesnastka). Treść książeczki stanowią rozważania, które autorka snuje na temat tajemnic obchodzonych w poszczególne uroczystości kościelne, objaśniając je szeroko z punktu widzenia historycznego, dogmatycznego, liturgicznego i ascetycznego.

Książka dla wszystkich wielce pożyteczna. Przede wszystkim winna się znaleźć w rękach kapłanów i osób zakonnych, którzy znajdą w niej bogatą treść do rozmyślań, konferencji lub kazań.

Objętość: str. 136. Cena 180 zł.

Żądać we wszystkich księgarniach religijnych lub zamawiać w **Wydawnictwie OO. Karmelitów Bosych, Kraków, ul. Rakowicka 18,** PKO Kraków IV-842. Telef. 554-48.

OFIARY

Na zakład dla dzieci kalekich w Świebodzinie — zł 1.000 — X. Y. Wyż. wym. zadeklarował powyższą kwotę miesięcznie.

SPROSTOWANIE

W nr 51 „Dziś i Jutro" z dnia 19.XII.1948 r. w dziale: Książki dla dzieci na Gwiazdkę, zamieszczono omyłkowo: Żabińska A. — Dżolly i S-ka, oraz Żabińska A. „Rysice" wyd. Gebethnera i Wolffa. Książki te są wydawnictwami „Czytelnika", co niniejszym prostujemy.

TYDZIEŃ KULTURALNY

DNIA 1 listopada 1948 r. został urzędowo zatwierdzony, otrzymał możność zawierania umów i podejmowania prac Instytut Badań Literackich.

IBL prowadzi: Zakład Historii Literatury Polskiej, Zakład Teorii Literatury i Metodologii Badań Literackich, Zakład Bibliografii i pracownię podręcznika szkolnego historii literatury polskiej.

Lokal IBL mieści się w Warszawie przy ul. Krakowskie Przedmieście 17, pok. 208, tel. 899-60 (wewn. 28). Kancelaria czynna codziennie. Dyrektor IBL przyjmuje w czwartki od godz. 12—13.

KONKURS LITERACKI DLA PISM CODZIENNYCH

W związku z Tygodniem Przyjaźni Polsko-Czechosłowackiej w marcu 1949 r. Ministerstwo Kultury i Sztuki wespół z ambasadą Republiki Czechosłowackiej organizuje konkurs na najlepszy dodatek kulturalny, poświęcony Czechosłowacji, który się ukaże w ramach „Tygodnia" na łamach prasy codziennej.

Warunki i regulamin konkursu oraz wykaz przewidzianych nagród zostaną podane do wiadomości w najbliższym terminie.

REKTORZY I DYREKTORZY WYŻSZYCH SZKÓŁ ARTYSTYCZNYCH

MININ Kultury i Sztuki zatwierdził wybór następujących rektorów i dyrektorów wyższych szkół muzycznych, plastycznych i teatralnych:

Państwowa Wyższa Szkoła Muzyczna w Warszawie — rektor St. Kazuro, P. W. S. Muz. w Krakowie — rektor Z. Drzewiecki, P. W. S. Muz. w Łodzi — rektor K. Sikorski, P. W. S. Muz. w Katowicach — rektor dr A. Mitscha, P. W. S. Muz. w Sopocie — dyrektor dr S. Śledziński, P. W. S. Muz. w Poznaniu — rektor dr Z. Sitowski.

Państw. Wyższa Szkoła Operowa w Poznaniu — dyrektor T. Szeligowski, Państw. W. S. Sztuk Plastycznych w Warszawie — J. Golus, P. W. S. S. P. w Krakowie — dyrektor M. Wejman, P. W. S. S. P. w Łodzi — dyr. M. Wimmer, P. W. S. S. P. w Poznaniu — dyr. S. Teisseyere, P. W. S. S. P. w Sopocie — dyr. M. Wnuk, P. W. S. S. P. we Wrocławiu — dyr. E. Geppert, P. W. S. S. P. we Wrocławiu, oddział w Katowicach — kierownik A. Rak.

Państw. Wyższa Szkoła Teatralna w Warszawie z siedzibą w Łodzi — rektor L. Schiller.

PRAPREMIERA POLSKIEJ SZTUKI HISTORYCZNEJ W POZNANIU

POZNAŃSKI Teatr Polski pod dyrekcją Wiliama Horzycy pokazał społeczeństwu poznańskiemu prapremierę sztuki historycznej Romana Brandstettera „Przemysław II". Publiczność i krytyka przyjęły sztukę z dużym uznaniem.

UZNANIE DLA POLSKIEGO UCZONEGO

PREZES Polskiej Akademii Umiejętności, prof. dr M. Kazimierz Nitsch został wybrany członkiem Academie des Inscriptions et Belles Lettres w Paryżu.

ANTONI GOŁUBIEW LAUREATEM

DNIA 30 grudnia w sali Zw. Zaw. Literatów Polskich w Katowicach nastąpiło uroczyste wręczenie nagrody literackiej czytelników „Odry", Antoniemu Gołubiewowi za powieść „Bolesław Chrobry" oraz Stefanowi Sulimie za tom reportaży „Ziemia odnalezionych przeznaczeń". Wręczenia nagród dokonał redaktor naczelny tygodnika.

Członek jury Zdzisław Hierowski, uzasadniając przyznanie nagrody Gołubiewowi i Sulimie, powiedział m. in.: „Bolesław Chrobry" — jest to wielka epopea powstania narodu polskiego. Autor, pisząc z wielkim epickim rozmachem, zobrazował niefałszowaną prawdę historyczną, uchwyciwszy istotny nurt przemian, jakie wtedy zachodziły. „Ziemia odnalezionych przeznaczeń" — to tak zwany obecnie w literaturze, wielki reportaż, ujmujący na gorąco, szczerze i konkretnie rzeczywistość naszą na Pomorzu Mazurskim.

Huczne brawa nagrodziły oświadczenie Gołubiewa, że kończy on już obecnie trzeci tom trylogii „Bolesława Chrobrego".

BALET PERKOWSKIEGO

PIOTR Perkowski ukończył pracę nad nowym, jednoaktowym baletem pt. „Legenda Słowiańska".

Utwór ten przeznaczył kompozytor dla zespołu baletowego Domu Wojska Polskiego.

NAGRODY MIASTA KRAKOWA

NAGRODA Naukowa miasta Krakowa za rok 1948 została przyznana rektorowi U. J. prof. drowi Teodorowi Marchlewskiemu za dzieła: „Ewolucja dominacji" część druga i „Genetyczne podstawy doboru hodowlanego".

Nagroda Architektoniczna miasta Krakowa za rok 1948 została przyznana prof. Józefowi Gałęzowskiemu za całokształt działalności.

ODNOWIENIE POLICHROMII MATEJKOWSKIEJ

PRACE przy odnawianiu polichromii matejkowskiej w kościele Mariackim w Krakowie zostały już zakończone. Ostatnio w nawie głównej przywrócona została polichromia do tego stanu, w jakim była wykonana przez Matejkę. W roku ubiegłym, jak wiadomo, odnowiono polichromię w prezbiterium.

Po zakończeniu prac renowatorskich, w roku przyszłym powróci na swoje miejsce w kościele ołtarz Wita Stwosza i nastąpi odnowienie obu naw bocznych.

PROMOCJE DOKTORSKIE W ŁODZI

NA Uniwersytecie Łódzkim nastąpiła uroczystość wręczenia promocji doktorskich. Na Wydziale Humanistycznym promowana została Łucja Koblewska-Wróblewska. Promotorem był prof. dr Mieczysław Wallis. Na Wydziale Prawno-Ekonomicznym promowany został Henryk Kubasiewicz. Doktorant złożył rozprawę pt. „Stanowisko prawne związków zawodowych w Polsce i ich udział w administrowaniu państwem". Promotorem był prof. dr Władysław Wróblewski.

NAGRODA LITERACKA WROCŁAWIA

NAGRODĘ Literacką Wrocławia w wysokości 250.000 zł otrzymał prof. Tadeusz Mikulski za książkę „Spotkania wrocławskie" i za całokształt swej działalności, związanej z odbudową kultury polskiej.

Poza tym nagrody po 70.000 zł otrzymali Jerzy Pytlakowski za książkę „Fundamenty" i Jan Pierzchała za całokształt twórczości poetyckiej.

WRACAJĄ DZIEŁA SZTUKI

MUZEUM Narodowe w Warszawie odzyskało szereg cennych dzieł sztuki polskiej ze swych dawnych zbiorów, które odnaleziono ostatnio w Paryżu. Są to obrazy J. Chełmońskiego („Zima"), M. Gierymskiego („Polowanie"), Gersona („Cmentarz w Tatrach"), J. Ciąglińskiego („Bosfor") oraz Wojciecha Kossaka i J. Rosena (motywy batalistyczne).

Obrazy te nadeszły w tych dniach do Warszawy i niebawem wzbogacą galerię sztuki polskiej w Muzeum Narodowym.

WYNIKI KONKURSU NA SZTUKĘ O TEMATYCE WARSZAWSKIEJ

NA ogłoszony przez Ministerstwo Kultury i Sztuki konkurs na sztukę o tematyce warszawskiej, nadesłano 31 sztuk. Jury konkursu w składzie: Piotr Borowy, Jarosław Iwaszkiewicz, Jerzy Kreczmar, Wanda Padwa i Stanisław Wygodzki — postanowiło nie nagradzać żadnej ze sztuk, a przeznaczoną na nagrody sumę 200.000 zł podwyższyć i rozdzielić pomiędzy autorów sztuk wyróżnionych, tzn. między Janusza Teodora Dybowskiego („Insurekcja"), Czesława Longina Jędraszkę („Rok 1905"), Halinę Marię Dobrowolską i Stefana Ostrowskiego („Po godzinie dwudziestej"), Irenę Krzywicką („Dzieje pewnej sutereny"), Irenę Miller („Jak dżuma"), Stanisława Nadzina („Stolica") i Janinę Skowrońską-Feldmanową („Banhoł i katedra").

Józef Majkut

FILM CZEKA...

W związku z wynikami konkursu filmowego o Chopinie prasa wyrażała ubolewanie nad „nikłą" (94) ilością nadesłanych prac. Czy cyfra ta jest rzeczywiście „nikłą" i jakie mogą być powody tego „głodu scenariuszy?"

Wielu u nas pisało na ten temat — ogłaszało wywiady i t. p., ale stan faktyczny pozostaje nadal bez zmian t. zn. brak jest scenariuszy, brak scenarzystów.

Chcąc sprawę tę możliwie wszechstronnie naświetlić, musimy spojrzeć co na tym polu dzieje się za granicą. I widzimy, że brak „scenarzystów" nie jest zjawiskiem typowo polskim, wypływającym z indolencji Filmu Polskiego, jak chcą niektórzy.

W Ameryce jest w tej chwili plus minus 20 scenarzystów; stan ten spowodował, że 90 proc. wytwórczości amerykańskiej obecnie — to adaptacje znanych powieści — robione w pracowniach przy wytwórniach przez rzemieślników — scenopisarzy (nie scenarzystów).

Producenci amerykańscy (jak np. Zanouck) uganiają się po Europie w poszukiwaniu scenariuszy. — We Francji ta sama sytuacja. Również „głód scenarzystów" panuje w tak bogatym w wielkie pozycje literackie Związku Radzieckim.

W czym tkwi przyczyna tego zjawiska?

Otóż przede wszystkim w samej formie scenariusza. Scenariusz jest bowiem nie tylko najmłodszą, ale i najoryginalniejszą formą wyrazu artystycznego. Mniemanie, że dobry dramaturg teatralny, czy znany literat może być scenarzystą filmowym— jest z gruntu błędne. Sprawa operowania obrazami w scenariuszu filmowym jest bardzo skomplikowana, zwłaszcza dla umysłu artysty, przyzwyczajonego do zupełnie innego typu ekspresji. Niejednokrotnie, znany literat słyszy opinię o swym „scenariuszu", że nie jest „filmowy". Tu mała dygresja: — co znaczy słowo filmowy, czy niefilmowy, do dziś, mimo paroletnich dyskusji i wywiadów niewiadomo. Autor więc utożsamia „filmowy" ze słowem „sensacyjny", albo bogaty w epizody ruchu i dźwięku. Poprawia swój scenariusz i wpada w dżunglę — gubi się, a co najgorsze, traci świadomość swej roli: — stwarza nowe postacie, czy epizody bardzo barwne, ale nie mające wpływu na zasadniczy problem dramatyczny filmu; używa niejasnej symbolistyki, wprowadza szereg zbędnych napięć rozpraszających uwagę widza, dodaje dialogi wyjaśniające (siódmy grzech przeciwfilmowy), w jednym miejscu daje zbyt wiele szczegółów, w innym — zbyt mało. Ostatecznie powstaje stos epizodów, wśród których koncepcja autora wije się i supła nikłą nicią — nie wiążąc całości.

W filmie, tak jak w starożytnym dramacie: istnieje 36 „żelaznych" sytuacji dramatycznych — 36 — ani mniej, ani więcej — ale nie można ich wszystkich umieszczać, ani szukać 37-ej w jednym filmie.

Sztuka teatralna opiera się na dialogu — film na akcji. Dialog jest ostateczną formą ekspresji filmowej, gdy wszystkie inne środki zawodzą. Dalej: autor niejednokrotnie zapomina, że film w przeciwieństwie do teatru jest „wycinkiem prawdziwego życia" i tylko wtedy przemawia do widza. Tymczasem w scenariuszu mamy zazwyczaj czarne charaktery—anielskie cnoty, ludzi bez skaz—zbrodniarzy bez przebłysku etyki.

Życie jest splotem konfliktu charakterów i ich poczynań: — sytuacje nie wynikające właśnie z tego — są nierealne, postacie „papierowieją". Oczywiście autor winien dozować te konflikty i ich bohaterów i tu dochodzimy do pierwszego zasadniczego punktu wyjściowego dla scenarzysty. Scenarzysta filmowy musi — w przeciwieństwie np. do literata — pamiętać, że taśma filmu ma 3.000 mtr maximum 3.400 i wyświetlanie jej nie może przekraczać czasu wytrzymałości fizycznej widza. Pamiętając o tym „dozuje" swe epizody, usuwa zbędne postacie, obrazy, dialogi. Uważa, aby każda scena trwała tyle czasu, ile potrzeba widzowi dla jej zrozumienia bez względu na to, że jest piękna np. z punktu widzenia malarskiego. „Przedozowanie" jakiejś sceny w długości, automatycznie zuboża inne.

Przed napisaniem t. zw. noweli filmowej, autor przede wszystkim musi sobie uprzytomnić: a) co chce przez swój przyszły film powiedzieć, b) czy problem ten ma być zawieszony w końcu filmu, czy rozwiązany, c) jakie środowisko (charakter) najlepiej ten problem wypowie, d) jacy ludzie (charakterystyka), mogą być na właściwym miejscu w rozwinięciu tego problemu i jego konfliktach i wreszcie, e) czy konflikt dramatyczny odpowiada epoce i środowisku.

Częstokroć możliwości techniki filmowej przesłaniają autorowi temat i opowiadanie. Jest to typowy błąd. Autor, o ile zacznie myśleć (za reżysera) o zbliżeniach, travelingach, planach, światłach i t. p. — nigdy nie napisze scenariusza.

Film dokumentarny czy fabularny jest dokumentem epoki i to jest drugie bardzo ważne zagadnienie.

Filmy na zachodzie, w 90 proc. są opowiadaniem o sprawach osobistych, są egocentryczne. Filmy krajów Europy środkowej i wschodniej — pod kątem osobisto - społecznym, dzięki czemu ich horyzont poszerza się znacznie. Tu jednak napotykamy na przykre zjawisko: legenda olbrzymich zarobków w filmie — ściąga m. in. rzesze „scenarzystów". Osoby te, licząc niesłusznie na poklask czynników miarodajnych — tworzą „rzeczy niestworzone": „państwowotwórcze konflikty", „praworządne sytuacje dramatyczne" — sztuczne w konstrukcji i pomyśle „epizody propagandowe", słowem, koszmar. Przy tym dyletantyzm środowiska i zdarzeń, a co najgorsze fałszywy ton całości, który zwłaszcza w filmie jest dysonansem nie do przyjęcia.

Aby film przemawiał ludzkim językiem musi być życiem i tylko życiem. Wszelkie koturny karykaturują i ośmieszają najpiękniejszą koncepcję. Bohaterowie muszą być ludźmi z prawdziwego zdarzenia, z ich ludzkimi cechami, zarówno dodatnimi, jak i ujemnymi. Sytuacje, w jakie dramaturg ich wikła muszą być życiowymi sytuacjami. I wtedy morał filmu trafia czystym dźwiękiem.

Wróćmy do punktu wyjściowego: — czy 94 scenariusze szopenowskie to mało?... Przeciwnie: bardzo dużo, a jeżeli nie są one „filmowe", to już inna sprawa.

Dramaturgia teatralna ma za sobą kilka tysięcy lat dorobku — literatura, malarstwo, rzeźba w różnych formach — tyleż. Film — maximum 30 lat! Polski film jeszcze mniej. Czy jednak znaczy to, że nie możemy mieć scenarzystów? Możemy, ale wydaje się mało prawdopodobne, aby literaci po krótkich, raczej przypadkowych kursach mogli nagle zwekslować swój kierunek twórczości. Niewątpliwie jest kilku literatów piszących „podświadomie" stylem filmowym, którzy mają t. zw. „wyczucie".

Pozostałe talenty — od sztuki i powieści — mogą, co ciekawsze z punktu filmowego, utwory powierzać zawodowym adaptorom przy wydziale artystycznym wytwórni filmowych.

Za granicą wydaje się setki rozpraw, wykładów, analiz poświęconych zagadnieniu scenariopisarstwa. Dowód, że zagadnienie jest poważne i ma szanse rozwoju. Ale „przyśpieszona fabrykacja scenarzystów" zbyt pozytywnych wyników nie da. Poprzedzić ją musi wielka praca przygotowawcza szkół filmowych dla zdolnej młodzieży literackiej, mającej w tej dziedzinie specjalne zamiłowania. Film czeka na scenarzystów.

Józef Majkut

FILM

„CZAPAJEWA" widzieliśmy już w ramach festiwalu. Jest to jeden z pierwszych obrazów radzieckich, które zostały oparte na zasadach filmu dźwiękowego. W umiejętny sposób stwarza postać radzieckiego bohatera, akcja jest żywa i ciągła, pełna realizmu. W obecnej chwili widza może nużyć konwencja montażu w niektórych scenach (jednostajny przerzut kamery w dialogach), czy brak nieraz urozmaicenia fotografii, (która chwilami grzeszy nadmiarem zbliżeń i skłonnością do ujmowania klatki filmu statycznie, dawania portretu i wnętrza), chwilami uderza teatralność gry i używanie podniesionego głosu przez co wypowiedziane słowo brzmi jednostajnie i traci na wyrazie — ale ogólne wrażenie pozostaje dodatnie. Film ten obecnie ogląda się z dużym zainteresowaniem, akcją i główną postacią porywa on publiczność. W chwili, gdy powstał (1934 rok) był niewątpliwie doniosłym wydarzeniem.

Scenariusz jest skomponowany prosto, opiera się na chronologicznej ciągłości zdarzeń i operuje tylko dwoma środowiskami: Czapajewa i wrogów. To drugie jest pomocnicze, służy dla uzupełnienia i uwypuklenia postaci Czapajewa i jego otoczenia (rozmowa w kwaterze przed ostatecznym atakiem), nie buduje samodzielnego wątku w filmie, pojawia się tylko tam, gdzie ma stanowić dopełniający kontrast, czy ew zwiększyć napięcie akcji (nocny pochód na Czapajewa).

Przy całej prostocie kompozycji i wykonania obraz ten interesuje i zaciekawia. Akcenty są zarysowane mocno i wyraziście. Trzeba jednak podkreślić, że nie ma tu przesady, w którą tak łatwo wpaść w tego rodzaju filmie. Postać Czapajewa, człowieka, który dowodząc dywizją dopiero od dwóch lat nauczył się czytać i pisać, w którym kipi tęsknota za wiedzą jest dokładnie przemyślana i subtelnie opracowana, całkowicie pozbawiona fałszywego patosu, głęboka ludzka i prawdziwa— i dobrze grana. Bez użycia przesadnych środków i akcentów, przy pomocy drobnych elementów przemawiających nieraz dopiero pośrednio został stworzony przekonywający charakter i film, który się pamięta.

Leszczyńscy

WŁODZIMIERZ PIETRZAK (Balk)

30

LOT JASKÓŁEK

Z cyklu „Między wschodem a zachodem"

Nastrój wytworzył się przy stole dziwaczny, niedomówień, sygnałów, które nie wszyscy rozumieli. Może nawet sztucznego ożywienia: Ksawery kazał podać wino, Alex daremnie wymawiał się od picia. Adam tkwił przy stole mrukliwy jak zwykle, niedługo miał wracać do Warszawy i Ksawery namyślał się, co z nim zrobić. Nie było sensu jednak chłopca marynować na wsi. Przecież wojny ostatecznie mogło nie być. Po kolacji zabrał go ze sobą do kancelarii. Właściwie, nie miał z nim nic szczególnego do mówienia; po prostu, chciał uniknąć tych dwojga. Siedzili naprzeciwko siebie, jakby obaj czekali aż drugi zacznie mówić. Ksawery starał się nie myśleć teraz o Krystynie, chciał naprawdę tę godzinę poświęcić Adamowi. I okazało się, że w ogóle nie wie od czego zacząć, że jest już naprawdę poza młodością, że ma tylko wspomnienia, lecz już nie młodość. Wspomnienia mogą się do czegoś przyczynić w rozmowie dwojga dorosłych, ale nie w rozmowie z kimś młodym. Młodość nie ma wspomnień i nie rozumie wspomnień. Co za fatalna rzecz, utracić klucz do młodości! W Adamie rosło zniecierpliwienie i rozczarowanie. To tkwienie w fotelu z Ksawerym naprzeciw wydało mu się śmieszne i niepoważne. Uśmiechał się kątem warg, do siebie.

— Czy dobrze się tu czułeś?

— Czy dobrze? — powtórzył. — Tak, chyba dobrze. Może zanadto sam. Czasem się po prostu wściekałem. Potem było już lepiej, poszukałem sobie ludzi tu, dookoła, na wsi — zatoczył ręką.

Znowu tworzył się martwy punkt. Tak, niedobrze z młodością. Patrzył z czułością na rozwichrzoną czuprynę Adama, z tkliwością niemal. I było mu przykro, ostatecznie, narzucał się Adamowi. Odczuwał w nim niechęć ku sobie, niechęć niesprawiedliwą, to jednak nie zmieniało porządku rzeczy. Podniósł się z krzesła i szorstko powiedział — „dobranoc". Tej szorstkości nie złagodził ruch dłoni na pożegnanie. Adam wzruszył ramionami i wyszedł z pokoju. Ksawery zapalił papierosa i wyszedł na dwór. Stał chwilę przed werandą, na niebie wyraziście znaczyła się droga mleczna, od czasu do czasu obrywała się jakaś gwiazda spadająca — lot trwał krócej niż błysk błyskawicy. Bez celu poszedł ku stajniom. Miarowe przeżuwanie owsa, potrząsanie kantarów, stukot kopyt, gdy konie przestępowały z nogi na nogę. Paru fornali było już powołanych do wojska. Nocny dyżurny był jakiś nowy, Ksawery go nie pamiętał. Rozmawiali chwilę, o pogodzie na jutro, Ksawery w końcu się zabrał i wyszedł. Pies stróża go poznał, zaszczekał kilka razy na znak powitania, potem odprowadził go za bramę. Na drodze zrobiło się chłodno, wlókł się powoli w stronę lasu. Była jasna noc, od strumienia podnosiła się biała mgła tak gęsta, że zdawałoby się, można ją wziąźć w ręce. Szedł bez zatrzymania i bez kontroli mijającego czasu.

Wszystko w życiu mija, nie da się niczego zatrzymać. Dopiero potem, z oddali, wiadomo, jakie to było piękne. Ach, jednak zatrzymać cokolwiek! Uprzytomnił sobie, że ludzi nie kocha się za nic, za to tylko, że są. Albo za to, co nam dają, albo za jakiś rys nieprzeciętności, za jakieś wielkie pragnienie, które ich trawi. I wtedy mogą nawet nic nie przynosić, mogą być ostatecznymi egoistami. Będą kochani, choć nawet nie potrzebują miłości. Biorą wtedy wszystko za darmo, świat należy do silnych, to znaczy do pragnących. Czy dosyć jest pragnąć?

Pragnienie musi się w człowieku objawiać jak burza. Musi w coś uderzać piorunami, błyskać cienką pręgą elektrycznej iskry. Przechodził przez mostek, tuż przed nim po lewej był już las — zaczynał się od wzgórza o gołym szczycie, u dołu obrosłego świerkami, krzakami jałowców, jeżyniskami. Wzgórze nosiło nazwę Czarciego Uroczyska, na szczycie miała być mogiła z 63 roku. Sowy tam się gnieździły, puszczyki, głos jękliwy szedł ku drodze.

Krystyna, no, tak — nie ma rady. Dopiero teraz mógł o niej myśleć i właściwie już nic nie miał do powiedzenia na ten temat. Zawrócił. Szedł prędko, zrobiło mu się gorąco. Zarazem, rysowała się inna decyzja: nic prostszego jak zwrócić się do Rzeżyckiego, on powinien móc to ułatwić. Naturalnie, nic innego nie pozostawało do roboty, iść do wojska. Jeszcze nie teraz, to naprawdę byłoby śmieszne. Ale gdy zajdzie potrzeba, gdy się zacznie.

W domu jeszcze paliło się światło, Krystyna i Alex siedzieli w gabinecie. Wchodząc, obrzucił ich spojrzeniem, zastanowił się, czy nie zechcą prowadzić jakiejś wyjaśniającej rozmowy. Nie, czuł, że tego by nie zniósł. Ale nic, po prostu na niego czekali, trochę zaniepokojeni i widać było, że jego nadejście przyniosło im ulgę. Uśmiechnął się do Alexa.

— Powinniście mi darować. Chciałem być na folwarku.

Nazajutrz Alex wyjechał. Dzień był wietrzny i dżydżysty, szarpało gałęziami, zmaganie się drzew z własną biologią, wiatr odrywał gałęzie jakby załamywał ręce, miotał liśćmi.

— Wyraźna jesień — powiedziała Krystyna.

— Nie, jeszcze będzie bardzo pięknie — zaprzeczył Alex.

***

Zaczęło się o wczesnym ranku. Adam obudził się, gdy było już zupełnie jasno. Słychać było strzały artylerii przeciwlotniczej i silniki samolotów nad miastem. W nocnej koszuli podbiegł do okna. Serce mu waliło jak młotem — nad mgiełkami wybuchów szrapnelowych, nad białym cumulusem, opadającym ku zachodowi, trzy duże czarne punkty, rozszerzające się w oczach: skrzydła, kadłub. Syreny, strzały, z daleka na ulicy śpieszny czyjś krok. Szybko włączył radio: zdyszany, zdenerwowany głos speakera, Adam też nie rozumiał tego, co mówiono w radio. Wystarczało jedno: zaczynała się wojna.

Pierwszy dzień. Miasto o tłumach sfalowanych, niespokojnych, o gęstym ruchu ulicznym. Pierwsi przechodnie z dekoracjami masek przeciwgazowych. W porze po południowej — nie, później tego nie pamiętał dokładnie, to chyba w inny dzień było, nowy nalot. Widział strącenie samolotu przez artylerię: srebrny bolid, mieniący się w słońcu, drobny, wielkości stalówki. Nagle czerwony język ognia, drobny, jak plama krwi przy skaleczeniu. Płomień, biały kłąb dymu. Bolid, pochylający się na skrzydło, zatrzymujący się na chwilę w powietrzu jak liść. Potem w dół, coraz szybciej, coraz szybciej, coraz szybiej — w końcu zgubiony z oczu za dachami wielkiego miasta, miasta, w którym na ten czas zamarł oddech. Nikt jeszcze nie był przyzwyczajony do wojny.

Kolumny wojska, przeciągające ulicami, inne niż zazwyczaj, bardziej apatyczne. Z rzadka z trotuarów sfruwające pęki kwiatów — pod nogi żołnierzom w mundurach polowych. Wielkie afisze o mobilizacji na rogach ulic, zdyszane okrzyki gazeciarzy, pierwsze wiadomości. Adam nie jadł obiadu, nie było po co wracać do domu. Krążył ulicami, podpatrywał wielkie miasto w pierwszym dniu wojny. Zastanawiał się jak długo wojna może trwać, parę lat? Wydawało mu się nieznośne czekać na owe przynajmniej osiemnaście lat, aby go wzięli do wojska. „To trzeba załatwić dużo wcześniej" — pomyślał tonem decyzji. Miał czad w głowie, piasek w ustach, olbrzymie pragnienie, gorączkę. Ruch na ulicach wzrastał z godziny na godzinę. Przez megafony nadawano jakieś wiadomości. Auta, dorożki, tworzyły się zatory. Przyśpieszony puls miasta: organizm, który jest przeświadczony, że warunki stają się anormalne. Choroba, która nadchodzi, której rozmiaru ani nazwy jeszcze nie można przewidzić. Potem ciemny wieczór, ulice bez lamp, labirynt ulic zanurzonych w mroku jak w piekle, jak w olbrzymiej przestrzennej dekoracji do którejś z oper Wagnera, lękliwe, rozpaczliwe dzwonki oślepłych tramwajów, niebieskie światła nad numerami domów, przechodnie wpadający na siebie, ruch niesłabnący do późnego wieczora.

Rytm tego dnia niespokojny, zgorączkowany. Przez pół przytomny. Deklaracje, frazes, retoryka: o śmierci, o wojnie, o zwycięstwie. Ci, którzy mieli walczyć, milczeli. Deklamatorzy, brawura słowa, tych zawsze jest dużo, to oni wnoszą niepokój, temperaturę tyfusu, dreszce.

Noc minęła spokojnie. Pierwsza noc wojny.

KONIEC TOMU I.

Wędrówki po scenach polskich

L. H. MORSTIN — ZAKON KRZYŻOWY

Widowisko dramatyczne w 8 odsłonach.

Na premierę prasową „Zakonu Krzyżowego" szedłem z uczuciem niepewności. Źródło niepewności tkwiło w przeświadczeniu, iż rodzaj utworu, który miano nam zaprezentować należy do najtrudniejszych. Obawy okazały się słuszne.

„Pracując nad nim (nad „Zakonem Krzyżowym" — p. a.) poszedłem drogą, którą nam wskazuje mistrz wszystkich autorów dramatycznych, wielki Szekspir" — tłumaczy w programie Morstin.

Szekspir jest wielki — prawda. Wytyczył drogę wszystkim autorom dramatycznym — druga prawda. Niestety, nie wszyscy, którzy pełni dobrych chęci, wejdą na tę drogę dojdą do tego samego celu. Na to nie ma rady.

W spektaklu Teatru Polskiego zawiodło właściwie wszystko. Zawiódł w pierwszym rzędzie autor, zawiódł reżyser, a za nim wykonawcy — jedynie może scenograf (Wacław Borowski) wyszedł z imprezy obronną ręką.

***

W widowisku Morstina wyczuwa się dwa nurty. Pierwszy to dramat dziejowy Polski, którą los skazał na sąsiedztwo z pychą i okrucieństwem germańskim. Intencją autora było doprowadzenie tego odwiecznego konfliktu do jakiejś syntezy. Środkami wiodącymi do tego celu są analogie między czasem, w którym rozgrywa się akcja na scenie, a okresem minionej wojny. Chciał tutaj autor przekonać widownię, iż sylwetka duchowa Krzyżaka niczym się nie różniła od wzorów któreśmy oglądali kilka lat temu. Nic się nie zmieniło w psychice germańskiej.

Zadanie było stosunkowo łatwe. Autor realizując swój zamiar nie potrzebował mijać się z prawdą historyczną. Próba syntezy wymagała by postawiona została kropka nad „i". Trzeba było wskazać narodowi polskiemu w ostatnim obrazie drogę zwycięskiego wyjścia z tego konfliktu. I tutaj też nic się nie zmieniło. Wystarczyło tylko zmienić z aktualnych na historyczne nazwy plemion i narodów, by raz jeszcze rzucić zawsze słuszną zasadę iż przeciwwagą dla zaborczości germańskiej może być tylko zjednoczona słowiańszczyzna z dołączaniem tych innoplemieńców, którym złowieszcza ekspansja niemiecka w ten, lub inny sposób zagraża.

Zadanie było łatwe. Nie należało go jednak lekceważyć. A tak się właśnie stało. Rezultat bardzo smutny: pierwsze cztery obrazy tchną łatwizną i banałem. Nie przebija z nich ani przez moment jakaś próba głębszego wysiłku myślowego. Połowa sztuki potraktowana została jako zbyt szeroko rozbudowane wprowadzenie w drugi wątek, w dramat Ryngałły. Aby usprawiedliwić taką rozbudowę sztuki autor zaprosił do współpracy dobrego reżysera, który wymyślił mu kilka efektownych tricków scenicznych, który usiłował nadać spektaklowi charakter wielkości. Do tego celu nie wystarczy jednak zdolność operowania tłumem (który zresztą, dla oszczędności zapewne, nie był zbyt wielki). Nie bez emocji oklaskiwaliśmy bardzo efektowny pożar na scenie, ale dym wyłaniający się z boku sceny nie potrafił przesłonić pustki w treści widowiska.

Po historycznym, po mickiewiczowskim Wallenrod Morstina, Wallenrod przypominający trochę Kaligulę, trochę mit o „dobrym Niemcu". Nie bardzo mogę zrozumieć intencje autora. O co tu chodziło? Dlaczego właśnie na ten ton położony został silniejszy akcent. Jeśli metą zamierzeń miała być tylko, udana zresztą, scena na Radzie Komturów, to trzeba by było stwierdzić, iż wysiłek zawiódł nasze nadzieje. Po Morstinie spodziewaliśmy się czegoś więcej.

Do reżysera, mówiąc ciągle o tym odcinku widowiska, mam największą pretensję za drugi obraz, za te naiwne wybuchy śmiechów w sali biesiadnej, mające stanowić dla widowni, jak przypuszczam, momenty wytchnienia w akcji rozgrywającej się na pierwszym planie. Drugim nieprzyjemnym zgrzytem była końcowa scena tego obrazu, namiętny ale nie w stylu epoki pocałunek Henryka z Ryngałłą.

***

Po tej, nudnej mimo wysiłków zespołu i wysiłków naszej dobrej woli, introdukcji weszliśmy w chwile znacznie radośniejsze. Na przełomie stanął obraz piąty, obraz w którym Mieczysław Milecki (kniaź Witold) dał bardzo sugestywny pokaz swoich możliwości i w którym ponury dysonans wywołany źle obsadzoną rolą królowej Jadwigi wykazał jak tragicznie mści się na spektaklu lekceważenie ról epizodycznych. Kogo za to winić — nie wiem. Wiem natomiast, iż taka jedna scena może zachwiać całą dobrą opinią o sumienności, z jaką Teatr Polski dotychczas traktował swoje spektakle.

Obrazy szósty i siódmy to najjaśniejsza strona całego spektaklu. Morstin znacznie lepiej czuje się w realizowaniu scen kameralnych. Dramat Ryngałły ma wszystkie cechy dobrej roboty dramatopisarskiej. I gdyby nie krótkie, może mimowolne potknięcie się w scenie sprzeczki między Henrykiem a Ryngałłą, można by mówić, iż autor tu właśnie pokazał swój lwi pazur. Treść obrazów mało skomplikowana i jeszcze jedna podłość Krzyżacka wybierająca żonę na nieświadomą trucicielkę ukochanego męża — a przecież śledzi się akcję i sposób jej przeprowadzenia z zapartym oddechem. Nie mała w tym zasługa Niny Andrycz (Ryngałły), ale o tym za chwilę.

***

Trudno mi było w robocie reżyserskiej rozpoznać Janusza Warneckiego. Kiedyś potrafił on się zapatrzeć w obrazy Rembrandta — dziś zabrakło mu inwencji by umiejętnie podchwycić styl płócien Matejki. Prawda, że do dyspozycji miał w większości wypadków pół aktorów, pół statystów, ale mimo to nieszczęsny obraz drugi cięży na opinii i przesłania nawet świetnie podchwycony nastrój obrazów we dworze Henryka.

***

Z wykonawców na poziomie pierwszej sceny polskiej stanęli jedynie: Nina Andrycz (Ryngałła), Mieczysław Milecki (kniaź Witold), Saturnin Butkiewicz (Andrzej Szmuberg) i Czesław Kalinowski (Konrad Wallenrod). Zawiedli: Izabela Wilczyńska (królowa Jadwiga) i... niestety... Jan Ciecierski (Pątnik).

„Ryngałła w moim utworze ma coś z Grażyny i także z tych niewiast, które w czasie niewoli patriotyzmem i gorącą nienawiścią do okrutnego wroga zachęcały do walki z okupantem. Jest zarazem wielką miłośnicą wojującą o swoje prawa do szczęścia osobistego..." — tak charakteryzuje autor tę postać. Nina Andrycz stworzyła wierną ilustrację tych słów. Oglądaliśmy pełną skalę możliwości tej aktorki, od pasji Grażyny, poprzez żar wspaniałej kochanki, aż do rozpaczy Szimeny. Ostatni stopień w tej skali wskazałem zupełnie celowo — są bowiem pewne podobieństwa w rolach ostatnio kreowanych. Zjawisko niebezpieczne — trzeba z nim walczyć.

Mieczysław Milecki z dużą pasją wszedł w rolę rozhisteryzowanego, pełnego wzlotów i załamań kniazia Witolda. Istniało niebezpieczeństwo nie wytrzymania tego tempa. Zrozumiał je autor i pozwolił aktorowi wytchnąć w dwu obrazach. Bezpośrednio po wspaniałej scenie z Jagiełłą przyszedł trochę skamazarny i nieprzekonywujący moment rozmowy z Jadwigą.

Bardzo dobrze wreszcie wybrnął z trudnej sytuacji Czesław Kalinowski w scenie przypominającej trochę dramat Rostworowskiego o Kaliguli.

Jerzy Artemski

Czytelnik uważa, że...

DO REDAKCJI „DZIŚ I JUTRO"

Na marginesie artykułu J. Majkuta p. t. „Między nami" wpłynęły następujące listy:

I.

Miło jest chociaż pośrednio znaleźć się na szpaltach tak żywotnego i poczytnego pisma. Może tylko trochę zbytecznie umieszczono moje słowa „kutej na cztery nogi". Wątpię, czy dadzą one powód do „wdzięczności".

Artykuł jednak bardzo mnie zaciekawił i zbliżył do autora, choć nie wszędzie jego ton polemiczny jest w moim guście. Nie będę mógł dać Halince tego artykułu do przeczytania... Halinka jest lubiana przez koleżanki i profesorów (na święta pojechała do matki). Nie rozwinęła jeszcze w pełni swych zdolności, ale myślę, że to jest zrozumiałe po tak długiej wegetacji w złych warunkach.

Ponieważ autor „wsi bez kurtyny" tak bezceremonialnie wystąpił przed... kurtyną — ośmielam się i ja przyznać do swego pochodzenia: byłem ziemianinem... I to aż do ostatnich lat, mieliśmy po ojcu majątek Ł. koło Zamościa. „Straszne to", ale... prawdziwe, jak prawdziwą jest wieś bez kurtyny, jak prawdziwe jest to, że nie jestem i nigdy nie byliśmy, ani ja ani mój ojciec i dziadek „wrogami ludu". Dziadek był w najlepszy stylu „chłopomanem". Wyrażenie to nie jest właściwe: chłopów łączyła z dziadkiem szczera, braterska przyjaźń. Całe wieczory spędzali razem, a na chrzściny i wesela — chodząc od chaty do chaty — zapraszał wszystkich sąsiadów i bywał też u nich na ślubach i pogrzebach. Trumny przyjaciół, którzy szli na wieczny spoczynek — dziadek wynosił z chat, a w zamian za to chłopi zanieśli na cmentarz trumnę dziadka.

Tradycja ta żyje do dziś w pamięci ludzi wsi P. Ja widać po nim odziedziczyłem to „chłopomaństwo", które zwłaszcza w młodości było bardzo intensywne. Teraz się trochę zraziłem do wsi, bynajmniej nie z powodu parcelacji, ale właśnie dlatego, że w znacznej mierze przestała być wsią. Tandentna cywilizacja miejska wypiera z niej regionalne piękno, np. wesela wiejskie przybrały charakter zabaw w trzeciorzędnej knajpie.

Zachowałem jednak dużo z dawnych „sentymentów chłopomaństwa" i dlatego trudno było mi po przeczytaniu pierwszego reportażu bez kurtyny pozostać obojętnym na tęsknotę wiejskiego dziecka do szkoły.

Przepraszam za osobiste wynurzenia, ale sprawa Halinki każe mi widzieć w autorze „Między nami" kogoś bliskiego.

Andrzej K.
(prof. gimnazjum)

Lublin, 22.XII.1948 r.

II.

Prawdziwą radość sprawił mojemu domowi ten artykuł: będąc również „bosym analfabetą" na wsi miałem nie mniej ciężką przeprawę z psim losem, zanim udało mi się pokonać wszystkie przeciwności i zamiast rzeźnikiem (przy czym upierał się dom) — zostać „muzykantem". Myśli zawarte w tym artykule są jak gdyby moimi myślami. Aż mi lżej na sumieniu, że ktoś je wypowiedział. Byłem zadowolony przez święta bardziej, niż gdyby mi ktoś dał prezent za 100.000 zł, nie uradowałbym się tak serdecznie.

Władysław Kusy
(sekr. orkiestry ludowej)

Zamość, 1.I.1949.

III.

Serdeczny Bracie!

Przeczytałem artykuł — skargę krwią i łzami pisaną i wyznaję ze wstydem: kręcą mi się łzy rozrzewnienia boś bracie napisał to co ja 40 lat myślę, a nie umiem i nie mam komu tego powiedzieć.

Takie same drogi i życie. Niewymownie się cieszę, że doczekałem się dni, w których pogardzony „cham" może mówić głośno, a nawet pisać, a nawet żądać dla siebie miejsca na ziemi: że umie podziękować za niepotrzebną opiekę nad sobą arystokracji i plutokracji.

Pracuję na mniejszym odcinku choć nie mniej zawzięcie. Znam wielu pracowników tak świeckich, jak i duchownych. Szczególnie młodzi księża (niektórzy) bardzo pięknie i ofiarnie biorą się do rzeczy.

Sam będąc przedwcześnie zniszczony pracą i poniewierką wojenną (gestapo) nie wiem jak długo stać będę na swym posterunku, ale niech pan pisze dalej, niech pan jeździ i zaznajamia się zarówno z nędzą naszych braci jak i z współpracownikami byśmy wzajemnie dodawali sobie otuchy i siły w budowaniu Polski Ludowej. Polska zawsze rosła i opierała się na dwu filarach: na rolniku polskim i na chrześcijaństwie. I chociaż wiele się mówi o innych „wiecznych wartościach" dla mnie wieczną jest prawdą, która żyje w katolickich sercach naszych ojców i braci ze wsi. Gratuluje stylu, argumentacji i zacięcia literackiego.

Ks. Wojciech M.

Słupiec-Kłodzko, 20.XII.1948 r.

IV.

Proszę przyjąć słowa uznania za tak piękny, spokojny i godny artykuł pod tytułem „Między nami". Styl iście reymontowski wróży autorowi wielką przyszłość literacką, bo łączy talent z pokorą pisarską.

Oddany
Ks. Al. Cegłowski

Strzelce k/Kutna, 18.XII.1948 r.

„POZIOM"

Zasługuje na uwagę notatka z nr 22 (76) „Ruchu Muzycznego" — w „Przeglądzie prasy" — jako sygnał poważniejszego obniżenia kultury polemicznej w naszym powojennym organie muzycznym. Autor notatki, podpisany literami kw, zaatakował tam w sposób niewybredny moją „Korespondencję z Poznania" w nr 42 (151) „Dziś i Jutro".

Chodzi mianowicie o passus, gdzie na podstawie cytatów z prof. Chybińskiego wykazałem sprzeczność między jego teorią a praktyką operową. Podkreślam słowo: **wykazałem.** Zamiast bowiem użyć ew. kontrargumentów, pan kw zastosował następujący, bardzo inteligentny chwyt, pisząc: „Przykro było stwierdzić, że syn Feliksa Nowowiejskiego, kompozytora cieszącego się sympatią wszystkich i człowieka zawsze dla kolegów uprzejmego, wystąpił przeciwko aurytetowi prof. dra Adolfa Chybińskiego, któremu przecież do pięt nie dorasta pomimo doktoratu z filozofii"...

Zechce uprzejmy pan kw przyjąć do wiadomości, że w kategoriach naukowego, krytycznego myślenia walczy się tylko na argumenty, a nie na osoby i tytuły naukowe. Decyduje logika wywodów, a nie czy ktoś komuś „dorasta do pięt" i t. d. Autorytety w muzyce nie są nietykalnym tabu... Czy pan kw zdaje sobie sprawę, że postęp w wielu dziedzinach polegał właśnie na przezwyciężaniu autorytetów?

Pisze dalej ów pan, że doktorat z filozofii nie upoważnia zresztą do zabierania głosu w sprawach muzycznych w sposób autorytatywny". Ależ tak, mądry panie kw! Gdzież tam estetykowi do pisania o Pucciniim i operze w ogóle! Choć nie przymierzając: filozof Rousseau pisał swoje sławne „Lettre sur la musique francaise" i „Lettre d'un symphoniste de l'Academie royale de musique a ses camerades de l'orchestre" — w obronie opery włoskiej. Dobrze, że wtedy jeszcze nie istniał pan kw. Ten by dopiero wygarnął Janowi Jakubowi, który przecie nie miał katedry muzykologii, ani nawet doktoratu... Zapewne pan kw należałby do tych, którzy najgłośniej w swoim czasie krzyczeli z okazji owych „Listów" muzycznych filozofa. Mogę panu kw polecić interesującą lekturę w tej materii — dla rozszerzenia wiedzy historyczno-muzycznej współpracownika „Ruchu Muzycznego"...

Znając już, z wyżej zacytowanych zdań, horyzont umysłowy pana kw, nie dziwię się, że w zakończeniu swojej notatki napastuje mnie on, pomawiając o uboczne względy, rzekomo kierujące mną przy pisaniu artykułu. Pan kw czyni to gołosłownie, gdyż na jego poziomie widocznie starczy rzucić uwłaczającą sugestię i już jest się zadowolonym ze swojej „publicystyki". Ale taka metoda przypomina żywo brukowce i nie powinna być stosowana w czołowym organie muzycznym. No i wcale nie zbija wykazanej przeze mnie sprzeczności między pewną teorią a pewną praktyką... A przecie byłem w prawie zareagować piórem na śmieszność pewnej sytuacji, która od dawna bawiła muzyczny Poznań.

Feliks Maria Nowowiejski

DO REDAKCJI „DZIŚ I JUTRO"
PEŁNE CZŁOWIECZEŃSTWO

Odpowiedź na artykuł dyskusyjny Halszki Krajewskiej pt. „Szkoła pracy", który ukazał się w „Dziś i Jutro" z dn. 5.12.48 r.

Autorka wspomnianego artykułu usiłuje przedstawić Johna Deweya i jego szkołę pracy a właściwie szkołę życia jako wzór godny naśladowania. Czy tak jest istotnie? Czy John Dewey i jego szkoła mogą być dla nas wzorem? Posłuchajmy najpierw, co o tym mówią marksiści. W organie Ministerstwa Oświaty „Nowa Szkoła" — rok IV. Nr 9—10 zamieszczony został w przekładzie polskim artykuł prof. W. S. Szewkina pt. „Pedagogika reakcyjna Johna Deweya", gdzie Dewey przedstawiony został jako reakcjonista, wysługujący się kapitalistom, którzy żyją z pracy szerokich rzesz ludności pracującej. Zarzut ten stawia go też pod znakiem zapytania także ze strony katolików. Bo religia katolicka każe bliźnich miłować, a nie wyzyskiwać ich. Przyjrzyjmy się więc bliżej twórczości Deweya i jego zachwalanej szkole, która istnieje już od 1896 roku w Chicago, ale jakoś nie widać dodatnich rezultatów jej działalności, nawet odwrotnie obserwujemy ostatnio w USA wzmożone dążenia imperialistyczne, a nie słyszeliśmy, żeby się Dewey temu sprzeciwiał.

Przyczyna leży w tym, że Dewey jest minimalistą i w ślad za Peirrem i Williamem Jamesem nie uznaje żadnej prawdy absolutnej, ani materii, ani jej Stwórcy, Boga; opiera się zaś tylko na doświadczeniu i działaniu, czyli na osławionym pragmatyźmie bezideowym i bezcelowym. Jedynym celem pragmatyzmu, jak mówi Władysław Tatarkiewicz w swej historii filozofii, jest przydatność życiowa, której miarą jest czyn, działanie, przydatne na najbliższą metę bez oglądania się na jakiekolwiek zasady moralne, które takiemu „działaczowi" tylko zawadzają. Pragmatyzm jest więc, jak widzimy, i niemoralny, bo krzywdzi bliźnich, i nierozumny, bo zaślepiony chwilową przydatnością względną, wtrąca człowieka w przepaść. Właśnie taką politykę pragmatyczną prowadzą kapitaliści wyzyskujący, którzy przez swoje działanie przydatne tylko dla nich ze szkodą bliźnich, społeczeństwa, zepchnęli ludzkość w jakąś potworną nędzę życia, powodując ciągłe wojny i rewolucje, sami też do tej nędzy nieuchronnie kroczą przez swoją krótkowzroczność.

Czy to ma być wzór do naśladowania dla nas, katolików? A właśnie takiego działania, nieuznającego żadnej prawdy, uczy Dewey w swojej szkole. Dziecko samo ma doprawdy dochodzić przez doświadczenie, przez pracę fizyczną. Jeżeli sam twórca tej szkoły prawdy istotnej nie znalazł, to jakże może wymagać, aby dziecko ją znalazło. Nie kwestionujemy pracy fizycznej i jej wartości w wychowaniu, ale praca ta pozbawiona kierunku i zdana na łaskę upodobania tylko będzie dowolnością posuniętą do najwyższego stopnia. Człowiek, a tym samym dziecko, jest bardziej skłonny do złego niż do dobrego skutkiem grzechu pierworodnego, przeto dziecko takie pozbawione wszelkiego kierunku, nie wdrażane do przezwyciężania swego egoizmu, wyrodnieje, staje się egoistą pierwszej klasy. Zaraza takiego wychowania egoistycznego zdołała się już rozejść po całym świecie dzięki takim minimalistom, jak **Wundt**, William Sztern, Dewey. Nawet w rodzinach katolickich panuje dziś często wszechwładnie moda, że nie wolno dziecka niczym krępować, bo to — „niewychowawcze", że dziecku wszystko wolno, bo to małe i głupie, jak urośnie, to zmądrzeje. Nie zmądrzeje dziecko u takich niemądrych rodziców, którzy mu nie potrafią nadać właściwego kierunku życiowego.

Czyż można się dziwić, że marksiści ze wstrętem odwracają się od takiego lalkowatego wychowania pragmatycznego? Człowiek nie jest lalką do zabawy!

Ale i marksiści nie mają racji, jeżeli identyfikują pragmatyzm z katolicyzmem, jak to czyni bezpodstawnie wspomniany Szewkin. Katolicyzm bowiem nie ma nic wspólnego z pragmatyzmem, wręcz odwrotnie, uczy nie egoizmu, lecz głosi Chrystusowe przykazanie miłości bliźniego i uspołecznienia. Artykuły zaś tego rodzaju jak Szkoła pracy Halszki Krajewskiej w czasopiśmie katolickim tylko zaciemniają sprawę, entuzjazmując się pogańskimi pomysłami zagranicznymi. Miejmy odwagę nareszcie sami myśleć a nie bezkrytycznie gloryfikować cudze chybione pomysły.

Jakiż w takim razie jest właściwy kierunek wychowania, zapyta cierpliwy czytelnik. Jest to dążenie do pełnego człowieczeństwa drogą fizycznej i umysłowej pracy ofiarnej i pożytecznej dla bliźnich, dla społeczeństwa z miłości ku Bogu, ku Prawdzie, Dobru i Pięknu według Bożego Przykazania Miłości. Jest w tym dążeniu i wyżycie się indywidualne i wartość społeczna dla ogółu. Tylko taka miłość i praca ofiarna zdoła zasypać przepaść, jaką wykopał egoizm pomiędzy ludźmi.

Ale do tego nie wystarczy materializm. Materia bowiem to dopiero połowa prawdy i to prawdy względnej, stworzonej, to dopiero skutek ponadmaterialnych sił stwórczych, które już dziś nawet nauka ścisła uznaje, bez nich bowiem nie można sobie wytłumaczyć zjawisk fizycznych i ich ostatecznej, a raczej pierwszej przyczyny. O ileż więc potężniejszą jest świadomość osobowa i mądrość wszechmocnego Boga, który stwarza istotę wszelkiej produkcji w całej różnorodności i obfitości przyrody, nadając jej odwieczne Prawo ewolucji. Człowiek nawet trawki mizernej nie potrafi wyprodukować sztucznie w laboratorium. A choćby nawet wreszcie to potrafił, to uczyniłby to tylko według istniejącego Prawa ewolucji, które i marksiści uznają. Nikomu by nie przyszło na myśl dokonania takiej produkcji wbrew Prawu ewolucji, które produkcją rządzi. A czy ład społeczny można wbrew temu Prawu budować? Przed marksizmem więc stoi jeszcze największe zadanie przejścia od socjalizmu dogmatycznego do socjalizmu twórczego, jak to ostatnio określił Stalin.

Jan Gołąb

NOWOŚĆ!

Jan Dobraczyński

„W rozwalonym domu"

obj. 264 str. — cena 580,— zł

poleca

KSIĘGARNIA

Zdzisław Gustowski

Poznań, Wielka 10

Do nabycia we wszystkich księgarniach.

Nadesłano

WIELKOPOLSKA KSIĘGARNIA WYDAWNICZA

Ewa Szelburg-Zarembina — POLNE GRUSZE, wyd. II, okł. J. M. Szancer, str. 179.

WYDAWNICTWO POL. CZERWONEGO KRZYŻA

KALENDARZ INFORMACYJNY 1949 r. pod red. Al. Wolnicza, str. 237.

WYDAWNICZA SPÓŁDZIELNIA „CZYTELNIK"

Stefan Żeromski — CHARITAS — t. XVIII zbiorowego wyd. Pism pod red. St. Pigonia, 1948, str. 361.

Stefan Żeromski — URODA ŻYCIA — t. XIV zbiorowego wyd. Pism pod red. St. Pigonia, 1948, str. 390.

Leon Kruczkowski — SIDŁA — wyd. II, okł. K. M. Sopoćko, str. 294.

E. Kazakiewicz — GWIAZDA — przekł. St. Strumph-Wojtkiewicza, okł. K. M. Sopoćko, str. 182.

Pruszyński Ksawery — OPOWIADANIA (Bibl. romansów i powieści), str. 61.

W. Gąsiorowski — PIGULARZ — cz. II (Bibl. romansów i powieści), str. 61.

WYDAWNICTWO E. KUTHANA WARSZAWA

Jan Brzechwa — SZELMOSTWA LISA WITALISA — ilustr. J. M. Szancera, str. 44.

WYD. MILICJI NIEPOKALANEJ NIEPOKALANÓW

Al. Weyssenhoff - Zielewiczowa — DO DOMU — str. 175.

WYDAWNICTWO „ALBERTINUM" POZNAŃ

Dale Carnegie — JAK USZCZĘŚLIWIAĆ INNYCH I SAMEMU BYĆ SZCZĘŚLIWYM — streściła K. Iłłakowiczówna, str. 166, 1948 r.

Domańska A. — HISTORIA ZÓŁTEJ CIŻEMKI — ilustr. L. Pawlikowskiej, 1948, str. 298.

Eug. Kobylińska — JAK KLASA I-B ODKRYŁA NOWY LĄD — 1948, str. 268.

E. Atkinson — BOBIK OD FRANCISZKANÓW — rys. K. Mackiewicza, str. 120.

Maria Szalay-Groele — STRASZNE DZIEDZICTWO — str. 245.

WYDAWNICTWO TOW. NAUKOWEGO KUL LUBLIN

ROCZNIKI FILOZOFICZNE pod red. ks. J. Pastuszki, str. 368.

WYDAWNICTWO „VERBUM" W KOSZYCACH

Jerzy Zawieyski — RAZCESTIE ŁASKY — przekł. czeski Rudolfa Zatko, str. 93.

WYD. ZACHODNIE — POZNAŃ

Kazimierz Koźniewski — ŻYWIOŁY — rzecz o ziemiach zach. Rzeczypospolitej — okł. ilustr. Cz. Wielhorskiego, str. 450.

„ŻYWIOŁY" K. KOŹNIEWSKIEGO

Ukazała się już w księgarniach nowa książka Kazimierza Koźniewskiego pt. „Żywioły" — wielki (450 stron) reportaż z Ziem Odzyskanych w ich obecnym, a nie historycznym wyglądzie. Jest to pierwsza po wojnie tego rodzaju literacka próba podsumowania i ukazania całości osiągnięć repolonizacyjnych i gospodarczych na Ziemiach Odzyskanych. Jest to pisarski obraz tego gigantycznego czynu dokonanego przez cały nasz naród, którego obrazem plastycznym była WZO. Książkę tę niebawem omówimy szerzej na łamach „Dziś i Jutro".

Redagują: Bolesław Piasecki, Dominik Horodyński, Andrzej Micewski.

Wydawca Kolegium Redakcyjne

Adres Redakcji i Administracji: Marszałkowska 81, m. 17, tel. 880 71. Konto P.K.O. Nr 1-727

Sekretarz redakcji przyjmuje: codzień, prócz wtorków i sobót, godz. 12.30 — 13.30

Prenumerata miesięczna 60 złotych. Kwartalna 180 złotych

Druk. Skolimowska 5.

B-66646